BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:		**Z przesyłką pocztową:**	
Rocznie . (52 tomy).	rs. 10	Rocznie. . (52 tomy)	rs. 12
Półrocznie (26 tomów)	„ 5	Półrocznie (26 tomów)	„ 6
Kwartalnie (13 tomów)	„ 2 kop. 50	Kwartalnie (13 tomów)	„ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.			

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPŁATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie. (za 26 tomów). . . .	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów). . . .	„ 1 „ 50

KOMITET REDAKCYJNY:

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Święcicki.

SEKRETARZ REDAKCYI
Edward Nicz.

WYDAWCY
Granowski i Sikorski.

REDAKTOR
Franc. Jul. Granowski.

Redakcya i Administracya: Warszawa, Nowy-Świat 47. — Telefonu 554.
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92, — we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 42.

Rok
DZIEWIĘĆDZIESIĄTY TRZECI

WIKTORA HUGO

z przedmową

J. A. Święcickiego.

TOM III.

Cena 40 kop

W prenumeracie 30½

WARSZAWA.

Redakcya i Administracya:

47. Nowy-Świat 47.

1898.

Wiktor Hugo.

ROK DZIEWIĘĆDZIESIĄTY TRZECI.

PIERWSZE OPOWIADANIE

WOJNA DOMOWA.

TOM III.

WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47

301699

Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Іюня 1898 года.

174067

CZĘŚĆ TRZECIA.

W WANDEI.

(Dokończenie).

Księga trzecia.

RZEŹ Ś-go BARTŁOMIEJA.

I.

Obudziły się dzieci, a najpierwej mała.

Kiedy się dzieci budzą, to jakby się kwiaty otwierały; zdaje się, że z tych dusz świeżych woń się rozlewa.

Jurcia, mająca dopiero dwadzieścia miesięcy, najmłodsza z trojga i która w maju ssała jeszcze, podniosła maleńką swą główkę, usiadła na posłaniu, zaczęła oglądać swoje nóżki, a potem szczebiotać.

Poranny promień padał na jej kolebkę; trudnoby było powiedzieć, co było więcej różowe: nóżka Jurci, czy Jutrzenka.

Dwoje innych spało jeszcze, mężczyźni zawsze są ociężali. Jurcia, wesoła i spokojna, wciąż szczebiotała.

Jasio był brunecikiem, Alanek szatynkiem, Jurcia blondyneczką. Odcienia w barwie włosów, zgo-

dne w dzieciństwie z wiekiem, mogą się z czasem zmienić. Janek wyglądał na małego Herkulesa; spał na brzuchu, z piąstkami w oczach. Grubemu Alankowi nożyny wyciągnęły się za kolebkę.

Na wszystkich trojgu były łachmany; podarło się już na szmaty odzienie, które im dał był batalion Czerwonej Czapki; co na nich wisiało jeszcze, niepodobne nawet było do koszuli; dwaj chłopcy byli niemal zupełnie nadzy. Jurcię przybrano kiedyś w coś podobnego do spódniczki, ale się to obszarpało i kuse było, jak kaftanik. Nie wiadomo, kto się zajmował temi dziećmi. Zdziczałe w tej wojnie chłopstwo wlokło je z sobą od lasu do lasu, dawało im porcyę zupy — i to wszystko. Malcy radziły sobie w innych względach, jak mogły. Wszyscy byli ich panami, nikt nie był im ojcem. Ale z pod łachmanków na dzieciach światło bije; wyglądały bardzo wdzięcznie.

Jurcia wciąż szczebiotała.

Co ptaszek wyśpiewuje, to dziecko szczebioce. Hymn ich jest jednaki. Hymn to niewyraźny, wyjąkany, głęboki. Dziecię ma więcej od ptaszka do wypowiedzenia, ma przed sobą mrok przeznaczeń ludzkich. Ztąd pochodzi smętek ludzi słuchających, zmieszany z radosnem malca nuceniem. Najwznioślejszą pieśnią, jaką na ziemi posłyszeć można, jest gwarzenie duszy ludzkiej przez usta dziecięcia. Ów zmącony szept myśli, dopiero instynktem będącej, zawiera w sobie jakieś bezwiedne odwoływanie się do sprawiedliwości przedwiecznej. Jest to może protestacya, wypowiedziana na progu, zanim się go przestąpi; protestacya pokorna a dojmująca; uśmiechająca się do nieskończoności nieświadomość zawstydza kreacyę całą za los, zgotowany istocie słabej i bezbronnej. Jeśli nieszczęście się jej przytrafi, będzie to dowodem, że nadużyto jej zaufania.

Gwarzenie dziecka jest czemś mniej i czemś więcej niż mową; nie są to tony, tylko śpiew; niema

zgłosek, a jest język. Szemrzenie to bierze swój początek z nieba i nie kończy się na ziemi; pochodzi z czasu, poprzedzającego urodziny i ciągnie się nieprzerwanie. Gaworzenie to składa się z tego, co dziecię mówiło, będąc jeszcze aniołem, i co mówić będzie, gdy człowiekiem zostanie; kolebka ma swoje wczoraj, tak samo jak grób ma swoje jutro. To jutro i to wczoraj zawierają w owem bezwiednem szczebiotaniu dwojakie nieznane; i nic tak nie przekonywa o Bogu, wieczności, odpowiedzialności, o dwoistości przeznaczenia, jak ten cień groźny w tej duszy różanej.

Nie zasmucało Jurci to, co wyjąkiwała, bo cała jej śliczna twarzyczka jednym była uśmiechem. Uśmiechały się jej usta, uśmiechały się jej oczy, uśmiechały się dołki jej policzków. Z uśmiechu tego wywiązywało się tajemnicze zgodzenie się na poranek. Dusza ufa promieniowi. Niebo było błękitne, ciepło było i pięknie. Wątła istotka, o niczem nie wiedząc, nic nie pojmując, nic nie znając, tonęła miękko w marzeniu bezwiednem; bezpieczna się czuła w tej naturze, wobec tych drzew uczciwych, tej szczerej zieloności, sielskości czystej i spokojnej, tego gniazdek odgłosu, szmeru źródeł, muszek, liści i tej niezmiernej niewinności słońca, jaśniejącej nad tem wszystkiem.

Po Jurci rozbudził się pierwszy Janek, najstarszy, duży, bo miał przecie już przeszło cztery lata. Wstał jak długi; po mężku przekroczył brzeg swego łóżeczka, spostrzegł swoją miseczkę, uznał ją za coś zupełnie naturalnego, siadł na ziemi i zaczął sprzątać swoją zupę.

Gruchanie Jurci nie rozbudziło grubego Alana; ale na odgłos, jaki wydawało dotykanie łyżką miseczki, przewrócił się nagle na drugi bok i otworzył oczy. Ten Gruby Alan miał już trzy lata. Spostrzegł swoją miseczkę. Dosyć mu było wyciągnąć tylko rękę po nią; wziął ją więc, nie schodząc z po-

słania, umieścił ją sobie na kolanach, całą dłonią ujął łyżkę i dalejże repetować.

Nie słyszała ich Jurcia, a wygięcia jej głosiku zdawały się iść wspólnie z błąkaniem się marzeń. Wielkie jej oczy otwarte patrzyły w górę i zdawały się niebieskie: jakikolwiek sufit, jakikolwiek sklepienie ma dziecię nad swoją główką, zawsze w jego oczach niebo się odbija.

Janek, wyjadłszy, co było w miseczce, wybrawszy z niej wszystko, westchnął i rzekł z godnością: — Zjadłem.

Przerwało to marzenia Jurci.

— Papu! — zawołała.

Spostrzegłszy, że Janek już zjadł, Alan zaś jadł jeszcze, wzięła stojącą obok niej miseczkę z zupą i zaczęła jeść także, niosąc częściej łyżeczkę do ucha niż do buzi.

Niekiedy zrzekała się cywilizacyi i brała z miseczki rękami.

Alan, wyskrobawszy łyżką swą miseczkę, jak to i jego brat już zrobił, zsunął się ze swego łóżeczka i pobiegł do niego.

II.

Nagle na dole, zewnątrz od strony lasu, dał się słyszeć odgłos trąbki, rodzaj dumnej i surowej fanfary. Odpowiedziała nań ze szczytu wieży ligawka.

Tym razem trąbka wojskowa zapytywała, a odpowiadała trąba wieśniacza.

Nastąpił drugi odgłos trąbki, a po nim druga odezwa ligawki.

Potem odezwał się z pobrzeża lasu głos odległy, ale wydatny, który krzyczał, co następuje:

— Ślę do was wezwanie, rozbójnicy. Jeśli

do zachodu słońca nie zdacie się na łaskę i niełaskę, uderzymy na was.

Z platformy zamku odpowiedział głos podobny do grzmotu:

— Uderzcie.

Głos z dołu znów zawołał:

— Na pół godziny przed uderzeniem na was dany będzie wystrzał z działa, na znak wezwania was po raz ostatni.

Głos z góry powtórzył:

— Uderzcie.

Rozmowy tej nie słyszały dzieci, ale odgłosy dwóch trąb wyżej i dalej sięgały. Na pierwszy odgłos trąbki Jurcia wyciągnęła szyję i przestała jeść; gdy trąba z wieży zabrzmiała, położyła łyżkę w miseczkę; na drugi dźwięk trąbki podniosła swój mały, wskazujący paluszek prawej ręki i to spuszczając go, to wznosząc z kolei, odznaczała spadki fanfary, drugą odpowiedzią ligawki przedłużone. Gdy trąba i trąbka umilkły, zamyśliła się, trzymając paluszek w górę wzniesiony i szepnęła półgłosem: — Gla.

Zepewne chciała powiedzieć „grają.“

Dwoje starszych, Janek i Alan, nie zwracali uwagi na owe trąb odgłosy; czem innem byli zajęci. Właśnie maszerowała po podłodze stonoga.

Alanek pierwszy ją spostrzegł i zawołał:

— Robak.

Janek zaraz przybiegł.

Alanek mówił dalej:

— To gryzie.

— Nie trzeba mu nic robić — rzekł Janek.

I obaj zaczęli się temu przechodniowi przyglądać.

Skończywszy swą zupę, Jurcia zaczęła szukać oczami swych braci. Janek i Alanek przycupnęli poważnie nad stonogą w zagłębieniu okiennem; dotykali się głowami i włoski ich zmieszały się z sobą; powstrzymywali oddech, zapatrzeni w tę rzecz śli-

czną, w tego robaka, który się zatrzymał i nie ruszał, niezadowolony, że go tak bardzo podziwiano.

Jurcia, widząc braci swych zatopionych w przyglądaniu się czemuś, chciała się dowiedzieć, co tam jest. Nie łatwo jej było dostać się do nich, jednak rozpoczęła usiłowania. Przeprawa najeżona była trudnościami, bo to i owo leżało na podłodze: powywracane stołki, stosy papierzysków, paki pootwierane i próżne, kufry, jakieś kupy, które trzeba obchodzić, słowem cały archipelag skał. Pierwsza praca, którą podjęła, było wyjście z kolebki; puściła się potem na rafy, sunęła przez cieśniny; odepchnęła stojące jej na drodze krzesełko, przeczołgała się między dwoma kuframi, przebyła stos papierów i tak pnąc się w jednem miejscu, przewracając się w drugiem, odsłaniając zupełnie i tak już źle osłonięte ciałko, dostała się nareszcie do tego, coby żeglarz wolnem nazwał morzem, to jest do dosyć szerokiej przestrzeni podłogi, niczem nie zawalonej i gdzie nie było już niebezpieczeństw. Wówczas puściła się żwawo, przebyła całą przestrzeń, która była szerokością sali, na czworakach, z szybkością kota i blizko już była okna, gdy wtem groźną spotkała przeszkodę. Wielka drabina leżąca pod ścianą dochodziła właśnie do tego okna a koniec jej wystawał nieco za brzeg wklęsłości zagłębienia. Między Jurcią i jej braćmi był tedy cypel, który trzeba było okrążyć. Stanęła i jęła rozważać. Skończywszy wewnętrzny swój monolog, zrobiła postanowienie. Uchwyciła swemi różowemi paluszkami jeden ze szczebli prostopadle stojących, drabina bowiem stała o mur oparta, i usiłowała się podnieść na nogi, ale upadła; powtórzyła usiłowanie dwa razy jeszcze i jeszcze dwa razy się jej nie udało, ale udało się za czwartym razem. Wówczas, stojąc już prosto i opierając się na każdym z kolei szczeblu, zaczęła się posuwać wzdłuż drabiny. Gdy do jej końca przybyła, brakło jej punktu oparcia i zachwiała się na nogach, ale pochwyciła wystający koniec grubego drą-

ga, w który szczeble były osadzone, wyprostowała się, okrążyła przylądek, spojrzała na braciszków i zaśmiała się.

III.

Właśnie w tej samej chwili Janek, zadowolony z wypadku badań swych nad stonogą, podniósł głowę i rzekł:

— To samica.

Rozśmieszył go śmiech Jurci, a śmiech Janka Alana znów rozśmieszył i utworzylo się małe zgromadzenie, siedzące na ziemi.

Stonoga jednak zniknęła. Skorzystała ze śmiechu Jurci, żeby się schować w szparę w podłodze.

Nadeszły inne wypadki.

Najprzód zaczęły przelatywać jaskółki.

Gniazda swe miały one prawdopodobnie pod okapem dachu. Przelatywały tuż przed oknami, zaniepokojone nieco temi dziećmi, opisując wielkie łuki w powietrzu i wydając właściwe im łagodne odgłosy wiosenne. Spostrzegły to dzieci i zapomniały o stonodze.

Jurcia wskazała paluszkiem na jaskółki i zawołała: — Ptapta!

Połajał ją za to Janek.

— Nie trzeba mówić ptapta, trzeba mówić: ptaszki.

— Tasi — rzekła Jurcia.

I wszyscy troje przyglądali się jaskółkom.

Potem przybyła pszczoła.

Pszczoła to coś niezmiernie do duszy podobnego. Przelatuje z kwiatka na kwiatek, jak dusza z gwiazdy na gwiazdę, i zbiera słodycz, jak dusza zbiera światło.

Ta pszczoła wpadła z wielkim hałasem, głośno brzęcząc i jakby chcąc powiedzieć: Otóż jestem; oglą-

dałam właśnie róże, a teraz przychodzę przypatrzeć się dzieciom. Co wy tu robicie?

Pszczółka—to jak gosposia: łaje i śpiewa zarazem:

Dopóki tam pszczółka bawiła, dzieci nie spuszczały jej z oka.

Pszczółka zwiedziła całą bibliotekę, przepatrzyła wszystkie zakąty; latała sobie jakby była we własnym ulu; skrzydlata i melodyjna, zwiedziła wszystkie szafy jedną po drugiej, przyglądając się przez oszklenie tytułom dzieł, jakby była kiedyś duchem.

Ukończywszy swój przegląd, odleciała.

— Poleciała do domu — zauważył Janek.

— To robak — rzekł Alanek.

— Nie, to mucha—odparł Jasio.

— Musia — dodała Jurcia.

Teraz Alanek dostrzegł na ziemi kawałek sznurka z węzłem na jednym końcu; wziął drugi jego koniec za pomocą palca, wielkiego i wskazującego, zaczął nim wywijać w powietrzu i patrzył na to młynkowanie sznurka z głęboką uwagą.

Jurcia ze swej strony stała się znów czworonożnem zwierzątkiem i podróżując po podłodze tu i owdzie, odkryła jakiś szanowny wiekiem fotel wypolstrowany, zjedzony przez robaki i z którego różnemi dziurami wyłaziło włosie. Zatrzymała się przy tym fotelu, rozprzestrzeniła dziury paluszkiem i z zestrzeloną bacznością wyciągała włosy.

Nagle podniosła palec, co miało znaczyć:—Słuchajcie.

Dwaj bracia także obrócili głowy.

Daleki i nieokreślony łoskot rozległ się zewnątrz; prawdopodobnie obóz oblegających wykonywał jakiś ruch strategiczny w lesie. Konie rżały, biły bębny, toczyły się wozy, żelaztwo szczękało, trąby wojskowe brzmiały, nawołując i odpowiadając sobie; zmieszanie rażących uszy odgłosów zlewających się we wła-

ściwą sobie harmonię. Dzieci słuchały z wielkiem zajęciem.

— To Bozia tak robi — rzekł Janek.

IV.

Łoskot ustał.

Janek wciąż był zamyślony.

W jaki sposób rozkładają się pojęcia w takich małych mózgach i składają się znów? Jaki jest tajemniczy powód czynności tych niejasnych pamięci, tak niedawnych jeszcze? W tej główce dziecinnej a zamyślonej zbudziła się jakaś mieszanina pojęć o Bozi, modlitwie, rękach złożonych, z jakiegoś czułego uśmiechu, który się miało kiedyś nad sobą, a niema się go już teraz — i Janek wyszeptał: — Mama.

— Mama — rzekł Alanek.

— Mama — powtórzyła Jurcia.

A potem Janek zaczął skakać, co zobaczywszy Alan, także skakać zaczął. Naśladował on wszystkie ruchy i wszystkie gesta swego braciszka; mniej już Jurcia. Trzy lata naśladują cztery lata; ale dwadzieścia miesięcy zachowują swoją niezależność.

Jurcia, siedząc ciągle, wypowiadała od czasu do czasu jakie słówko, unikając widocznie frazesów.

Była to myślicielka, mówiła poważnemi sentencyami jednowyrazowemi.

Jednak po niejakim czasie przykład i na nią podziałał, próbowała więc robić to samo, co braciszkowie. I oto trzy pary małych, bosych nożyn zaczęły tańczyć, biegać i chwiać się w kurzawie starej posadzki z dębu wygładzonego, wobec poważnego spojrzenia popiersi marmurowych, na które Jurcia zwracała od czasu do czasu zaniepokojone oko, szepcząc: — Lala!

W sposobie wyrażania się Jurci „lala“ oznaczało wszystko, co było do człowieka podobne, a nie było nim jednak. Dzieciom nie inaczej przedstawia się istota, jak w postaci zjawiska.

Jurcia chwiała się raczej niż chodziła, idąc za braćmi, ale też najchętniej posuwała się na czwórakach.

Janek zbliżył się do okna, podniósł głowę, potem nagle ją spuścił i uciekł za mur, rozpoczynający framugę okienną. Spostrzegł kogoś, kto patrzył na niego. Był to żołnierz, jeden z tych, co obozowali na płaskowzgórzu, który, korzystając z zawieszenia broni, a może i przekraczając je trochę, odważył się przyjść aż na brzeg parowu, zkąd można było zapuścić wzrok do wnętrza biblioteki. Alan widząc, że Janek się chowa, przytulił się także do niego, a Jurcia schowała się za nimi. Pozostali tak w milczeniu, nieruchomi, a Jurcia położyła paluszek na usta. Po kilku chwilach ośmielił się Janek i wysunął głowę ku oknu; żołnierz stał tam jeszcze. Cofnął więc Janek głowę coprędzej i wszyscy troje stali, nie śmiejąc ust otworzyć. Trwało to dosyć długo. Znudziła się nakoniec Jurcia tym strachem i ośmieliła się wyjrzeć, żołnierza już nie było. Zaczęli więc znów biegać i bawić się.

Chociaż Alanek podziwiał i naśladował Janka, miał jednak i coś oryginalnego w sobie: udawało mu się robić odkrycia. Braciszek i siostrzyczka zobaczyli, jak zaczął nagle galopować zapamiętale, ciągnąc za sobą mały wózek, który gdzieś tam wynalazł.

Powozik ten dla lalki był tam oddawna, pokryty kurzem, zapomniany, w towarzystwie ksiąg genialnych i popiersi mędrców. Może to była jedna z zabawek, któremi się zajmował Gauvain, gdy dzieckiem był jeszcze.

Alanek użył sznurka za bacik i bardzo był pyszny, trzaskając z niego. Takimi są wynalazcy. Kie-

dy się komu nie uda odkryć Ameryki, to odkryje wózek; zawsze się tak dzieje.

Trzeba było jednak dopuścić innych do współudziału. Janek chciał się zaprządz do wózka, a Jurcia chciała wsiąść do niego.

Usiłowała się w nim usadowić. Janek został koniem, Alan — stangretem. Ale stangret nie umiał dobrze radzić, więc go musiał koń uczyć.

Janek krzyczał do Alanka:

— Mów: Wio!

— Wio! — powtórzył Alanek.

Wywrócił się powóz. Jurcia wyleciała. Takie aniołki krzyczą: Jurcia zaczęła wrzeszczeć.

Potem zbierało się jej jakby na płacz.

— Nie trzeba płakać — mówił Janek — ty już duża.

— Duzia — rzekła Jurcia.

I oto wielkość jej pocieszyła ją w jej upadku.

Gzyms pod oknami był bardzo szeroki; nazbierało się na nim dużo kurzu, zrywającego się z płaskowzgórza porosłego krzakami; deszcze zrobiły ziemię z tego kurzu, wiatr ponanosił tam nasion i jedno nasionko jerzyny uznało za właściwe osiąść na tej odrobinie ziemi. Krzak ten z gatunku jerzyn trwałych, dzięki porze sierpniowej, był pokryty zupełnie jagodami, z któremi jedna gałązka wchodziła oknem do sali i zwisła aż do podłogi.

Po odkryciu sznurka, po odkryciu wózka, odkrył Alanek tę jerzynę. Przybliżył się do niej.

Uszczknął jedną jagodę i zjadł.

— Chcę jeść — rzekł Janek.

I Jurcia także podsunęła się tam żwawo na rękach i kolanach.

Jak się zabrali we troje do tej gałązki jerzynowej, tak obrali ją ze wszystkich jagód i pozjadali je. Napili się niemi i pomorusali. Trzy małe serafinki, pomalowane purpurą jerzyny, wyglądały jak troje

faunów. Gniewałoby to Dante'a, ale zachwyciłoby Wergiliusza. Śmiałby się do rozpuku.

Czasem jerzyna kłóła im palce. Było to naturalne.

Jurcia wyciągnęła do Janka swój paluszek, na którym perliła się kropelka krwi, i pokazując jerzynę, rzekła: — Kuku.

Alanek ukłół się także, popatrzył na jerzynę z nieufnością i rzekł:

— To robak.

— Nie — odparł Janek — to kijek.

— Kijek taki zły — rzekł Alan.

I teraz znów Jurcia miała ochotę płakać, ale zaczęła się śmiać.

V.

Tymczasem Janek, zazdroszcząc może swemu młodszemu bratu, Alankowi, jego odkryć, powziął wielki zamiar. Od niejakiego już czasu, a nawet podczas objadania jerzyny i kłócia sobie palców, zwracał często oczy w stronę gdzie stał pulpit, osadzony na jednej podstawie i stojący na środku sali bibliotecznej, jakby pomnik jaki. Na tym to pulpicie rozłożony był sławny wolumin o świętym Bartłomieju.

Istotnie, wspaniałe to było „in quarto" i pomnikowe. Ten święty Bartłomiej wydany został w Kolonii przez sławnego wydawcę biblii z roku 1682, Bloeuw'a, po łacinie Coesius. Odbito go na na prasie drukarskiej szufladkowej, a na papierze nie holenderskim, lecz na pięknym papierze arabskim, który geograf Edrisi tak podziwiał, urobionym z jedwabiu i bawełny i zawsze białym. Oprawiony był ten wolumin w skórę wyzłacaną i w srebrne klamry; na początku i na końcu miał karty pergaminowe, z tego

pergaminu, na kupowanie którego w sali Saint-Mathurin, a „nie gdzieindziej,“ przysięgali handlujący tym produktem. Pełno było w tym woluminie drzeworytów, miedziorytów i zarysów geograficznego położenia wielu krajów. Na czele była wydrukowana protestacya drukarzy, papierników i księgarzy przeciw postanowieniu rządowemu z roku 1635, okładającemu podatkiem skóry, piwo, zwierzęta wielokopytowe, ryby morskie i papier. Na odwrotnej stronie tytułu była dedykacya Gryfom, którzy tem są w Lyonie, czem Elzewiry [1]) w Amsterdamie. Wynikło z tego wszystkiego, że ów egzemplarz był wspaniały, a tak niemal rzadki, jak „Apostoł“ wydany w Moskwie.

Księga była piękna i dlatego zapewne tak się jej Janek przyglądał. Wolumin otwarty był właśnie w tem miejscu, gdzie była wielka rycina, przedstawiająca Św. Bartłomieja, niosącego własną swoją skórę na ręku. Rycinę tę widać było z dołu nawet. Gdy już nie było co jeść na gałązce jerzyny, Janek zaczął się przyglądać rycinie okiem straszliwej miłości; Jurcia zaś, której oczy tam patrzyły, gdzie patrzyły oczy braciszka, zobaczywszy rycinę, rzekła do siebie:

— Caca.

Wyraz ten wywołał w Janku postanowienie i ku największemu zdumieniu Allana, stała się rzecz nadzwyczajna.

W jednym kącie biblioteki stało wielkie krzesło dębowe. Poszedł ku niemu Janek, pochwycił je i przyciągnął sam aż do pulpitu. Gdy się krzesło z pulpitem zetknęło, wlazł na nie i położył obie dłonie na księdze.

Stanąwszy tak wysoko, poczuł potrzebę postąpienia hojnie. Ujął „caca“ za róg górny i rozdarł

---

[1]) Drukarze i wydawcy dzieł. Pewien typ czcionek drukarskich od nich się nazywa Elzewirem.

kartę jak należy. Rozdarcie to Świętego Bartłomieja poszło ukośnie, ale to już nie Janka była wina; w księdze pozostała cała lewa strona wizerunku, z jednem okiem i kawałkiem aureoli z nad głowy tego starego wrzekomo ewangelisty. Oddał Jurci całą połowę Świętego z jego skórą, mówiąc:

— Lala.

— A mnie!—wołał Alanek.

Wydrzeć pierwszą kartę, to jakby pierwszą krew przelać. Prowadzi to do rzezi.

Janek odwrócił stronnicę. Po świętym, następował komentator, Pantoenus. Janek obdarzył Alanka Pantoenusem.

Jurcia tymczasem rozdarła swój wielki kawał na dwie części mniejsze, potem z tych dwóch zrobiła cztery i historya mogłaby powiedzieć, że Święty Bartłomiej, obdarty ze skóry w Armenii, został rozćwiertowany w Bretanii.

VI.

Skończywszy to ćwiertowanie, Jurcia wyciągnęła rączkę do Janka i rzekła:

— Eśce!

Po świętym tedy i komentatorze poszli glosatorowie z twarzami odrażającemi. Pierwszym, co do daty, był Gavantus; Janek wyrwał Gavantusa i dał go Jurci.

Z kolei wszyscy glosatorowie Św. Bartłomieja doznali tego losu.

Dawać, jest to wyższość. Janek nic dla siebie nie zachował. Alan i Jurcia patrzyli na niego, zadowolony był podziwem swej publiki.

Niewyczerpany w swej wielkomyślności, Janek ofiarował Alankowi Fabricia Pignatelli, a Jurci ojca Stillinga; potem dał Alankowi Alfonsa Tostata, a Jur-

ci Korneliusza „à Lapide;“ potem Alan dostał Henryka Hommonda, a Jurcia ojca Roberti, z widokiem miasta Douai, w którem się urodził roku 1619. Z kolei dostała się Alankowi protestacya papierników, a Jurci dedykacya Gryfom. Były tam także mapy, i te Janek porozdawał; Etyopię otrzymał Alanek, a Jurcia Lykanię. Zrobiwszy to wszystko, zrzucił Janek księgę na ziemię.

Przerażająca to była chwila. Z uniesieniem, połączonem z trwogą, patrzyli Alanek i Jurcia, jak Janek brwi namarszczył, wsparł się mocno na nogach, zacisnął pięści i zepchnął wolumin potężny z pulpitu. Tragicznie to wygląda, kiedy taka wspaniałość traci równowagę. Jak jeździec z siodła wyparty, zawisł wolumin na chwilę, zawahał się, zachwiał, potem się zwalił i złamany, zmiętoszony, poszarpany, wzruszony w swojej oprawie, osłabiony w klamrach, rozpłaszczył się żałośnie na podłodze. Szczęściem, na żadne z nich nie spadł.

Zachwyceni byli, bo nie doznali stłuczenia. Nie wszystkie przedsięwzięcia zdobywcze tak pomyślnie się kończą.

Jak wszystkie chwały, tak i ta narobiła wiele trzasku i kurzawy.

Zwalczywszy księgę, zszedł Janek z fotelu.

Zapanowało na chwilę milczenie, z przerażeniem połączone; zwycięztwo ma przestrachy. Troje dzieci wzięło się za ręce i stało w oddaleniu, patrząc na wolumin rozbity.

Ale już po chwili zamyślenia zbliżył się do niego Alanek energicznie i kopnął go nogą.

Skończyło się! Pochopność do niszczenia istnieje. Janek kopnął także nogą, kopnęła i Jurcia, że aż się zachwiała i przysiąść musiała, z czego też i skorzystawszy, rzuciła się na Św. Bartłomieja. Zniknął już wszelki urok. Janek runął na księgę, powalił się też na nią Alanek, i kontenci, upojeni, tryumfujący, drąc

ryciny, szarpiąc kartki, wyrywając zakładki, drapiąc oprawę, odrywając naklejoną złoconą skórę, mocując się ze srebrnemi narożnikami, drąc pergamin, naddzierając tekst szanowny, pracując nogami, rękami, paznogciami, zębami — zarumienione, śmiejące się, okrutne, trzy te aniołki zniszczenia zwalczały ewangelistę bezbronnego.

Zniweczyli Armenię, Judeę i Benewent, gdzie się znajdują relikwie Św. Bartłomieja; Natanaëla, który jest podobno tym samym, co Bartłomiej, papieża Gelazyusza, który ewangelię Bartłomieja - Natanaëla uznał za podrobioną, wszystkie figury, wszystkie mapy. Nieubłagane pastwienie się nad starą księgą tak całkiem dzieci te zajęło, że ani wiedziały nawet o myszy, niedaleko od nich przebiegającej.

Dokonały wytępienia.

Poszarpać w kawały historyę, legendę, naukę, cuda prawdziwe, czy fałszywe, łacinę kościelną, przesądy, fanatyzmy, tajemnice; porozdzierać religię od góry do dołu — jest to praca nielada dla trzech olbrzymów, a nawet dla trojga dzieci. W tym ich mozole upływały godziny, ale pracownicy dokonali swego. Ze Św. Bartłomieja nic nie pozostało.

Gdy tego dokonano, gdy wydarto ostatnią kartę, ostatnią rycinę rzucono na ziemię; gdy z księgi pozostały tylko brzeżki kart tekstu i rysunków, trzymające się jeszcze grzbietu oprawy, wyglądającej jak szkielet, Janek się podniósł, popatrzył na podłogę, zasłaną resztkami kart rozpierzchłemi, i zaczął klaskać w ręce.

Jurcia wzięła z ziemi jedną z kart, podniosła się, przybliżyła się do okna, którego dolny brzeg narówni był z jej podbródkiem, i zaczęła drzeć na kawałki wielką kartę i wyrzucać je oknem.

Widząc to dwaj jej braciszkowie, to samo zaczęli robić. Zbierali karty i darli je, a skończywszy z jednemi, brali inne i darli je znów, a wyrzucali przez okno, jak i Jurcia. I tak karta po karcie, cała księga

staroświecka, poskubana temi małemi a zawziętemi paluszkami, poleciała na cztery wiatry. Jurcia zamyśliła się, patrząc na ten rój drobnych papierków białych, bujający w powietrzu wedle tchnienia wiatru i rzekła:

— Motle.

I oto rzeź skończyła się na rozwianiu pod niebios lazurem.

VII.

Tak się odbyło powtórne skazanie na śmierć Św. Bartłomieja, który już raz poniósł śmierć męczeńską 49-go roku po Jezusie Chrystusie.

Tymczasem zbliżał się wieczór, upał się wzmagał, powietrze tchnęło drzemką popołudniową; Jurcia miała jakieś niejasne oczy. Janek poszedł do swego łóżeczka koszykowego, wyciągnął z niego worek słomą napchany, służący mu za materac, przyciągnął go pod okno, rozciągnął się na nim i rzekł:

— Połóżmy się.

Alanek oparł głowę na Janku, na Alanku Jurcia oparła swoją i troje niszczycieli usnęło.

Przez otwarte okna wchodziły do sali ciepłe podmuchy; wonie dzikich kwiatów, wzleciawszy ze wzgórzy i zapadlin, błąkały się zmieszane z wieczornem tchnieniem; przestrzeń spokojna była i miłosierna; wszystko promieniało, wszystko się śmiało, wszystko miłowało. Słońce przesyłało wszelkiej istności pieszczotę swoją, światło; harmonia, wywiązująca się z olbrzymiej słodyczy wszechrzeczy, wiała wszystkiemi porami; czuć było macierzyństwo w tej nieskończoności. Co jest stworzone, jest cudem w pełnym rozwoju; dobrocią swą dopełnia swej ogromności. Zdawało się, że się odczuwa kogoś niewidzialnego, który w groźnem ścieraniu się istnień, tajemniczą

osłania bacznością wątłych między mocnymi. Równocześnie pięknie było bardzo; okazałość dorównywała łaskawości. Uśpiony krajobraz osłonięty był przepyszną morą, powstałą z przemieszczania się cieni i światła nad łąkami i rzekami; dymy wznosiły się ku obłokom, jak marzenia ku wizyom. Nad wieżą Tourgue bujały ptaszęta w różnych kierunkach; jaskółki zaglądały przez okno do biblioteki, jakby się chciały przekonać, czy dzieci śpią dobrze. A one wdzięcznie ułożyły się jedno na drugiem, nieruchome, na pół obnażone, w pozach amorków; niewinne i pociągające ku sobie, wszystko troje razem nie miały i dziewięciu lat jeszcze; marzyły sennie, jak w raju, a ich marzenia odtwarzały się w nieokreślonych ust ich uśmiechach. Bóg im może szeptał do ucha, bo były z tych, które we wszystkich językach zwą się słabe i błogosławione; były szanownie niewinne. Wszystko zapadło w ciszę, jak gdyby tchnienie ich wątłych piersi obchodziło świat cały, jak gdyby wszelkie stworzenie tchnienia tego nasłuchiwało. Nie zadrgał listek, trawka nie zadrżała. Zdawało się, że szeroki świat gwiaździsty powściągnął swój oddech, aby nie zakłócić snu trojga pokornych śpioszków anielskich. Jakże wzniosłe jest to poszanowanie natury dla takiego drobiazgu!

Słońce miało się ku zachodowi i już dotykało prawie widnokręgu. Nagle, w łonie tego głębokiego spokoju zjawiła się błyskawica, wyskakująca z lasu, a potem odgłos brutalny. Wypalono z działa. Pochwyciły ten odgłos echa i narobiły z niego łoskotu. Potworny był ten huk przeciągły, biegnący od pagórka. Zbudził Jurcię.

Podniosła nieco głowę, wyprostowała paluszek, słuchała i rzekła:

— Bum!

Odgłos ustał, wszystko znów zapadło w ciszę.

Jurcia złożyła główkę na Alanku i znów zasnęła.

Księga czwarta.

MATKA.

I.

Śmierć przechodzi.

Tego wieczora, matka, którą widziano idącą prawie na chybi-trafi, szła bez przerwy dzień cały. Była to zresztą jej codzienna historya: iść przed siebie i nigdy się nie zatrzymywać. Albowiem jej drzemki ze znużenia w pierwszym lepszym kącie nie były spoczynkiem, podobnie jak to, co tu i owdzie zjadła, jak ptasze trafiające na ziarno, nie było pożywieniem. Jadła i spała tyle tylko, ile nieodzownie było potrzebnem, żeby nie padła martwa z wycieńczenia.

Poprzednią noc przepędziła w opuszczonej stodole. Wojny domowe robią wszędy pustki; na polu samotnem znalazła cztery ściany, drzwi otwarte, pęczek słomy pod resztkami dachu i zasnęła na tej słomie i pod tym dachem, słysząc pod słomą prześlizgujące się szczury i przez dach widząc wschodzące gwiazdy. Tak przespała kilka godzin; potem obudziła się wśród nocy i szła dalej, żeby zrobić jaknajwięcej drogi przed nastaniem spieki południowej.

Kto pieszo podróżuje w lecie, dla tego północ łaskawszą jest niż południe.

Idąc, starała się stosować do ogólnikowych wskazówek, jakie jej dał wieśniak z Vantortes; ile możności, zawsze szła w kierunku zachodu słońca. Ktoby był blizko niej, ten słyszałby, jak co chwila szeptała: Tourgue. Z wyjątkiem imion swoich dzieci, umiała tylko ten jeden wyraz.

Tak idąc dumała. Myślała o przygodach swoich w drodze; myślała o wszystkiem, co przecierpiała i przeniosła; o spotkaniach, o warunkach niegodziwych, jakie na nią nakładano, o haniebnych umowach, jakim musiała się poddać, żeby mieć przytułek lub kawałek chleba, lub poprostu wskazówkę na drogę. Biedna kobieta jest od biednego mężczyzny nieszczęśliwszą, gdyż jest narzędziem rozkoszy. Okropną jest ta błędna wędrówka. Dla niej jednak wszystko to było obojętnem, byle znalazła swoje dzieci.

Pierwszem jej spotkaniem w tym dniu była wioska po drodze; zaledwie pierwsze brzaski dnia ukazywały się na niebie; wszystko jeszcze było pogrążone w mroku nocy; a jednak na głównej ulicy w wiosce niektóre drzwi były już odemknięte, a głowy ciekawe wyglądały z okien. Mieszkańcy krzątali się, jakby w zaniepokojonym ulu. Przyczyną tego był słyszany zdaleka turkot kół i szczęk żelaztwa.

Na placu, przed kościołem, wylękła gromadka z oczyma wzniesionemi w górę patrzyła na wierzchołek wzgórza, z którego po drodze coś zbliżało się do wioski. Był to wóz o czterech kołach, ciągniony przez cztery konie, zaprzężone łańcuchami. Na wozie dostrzegano stos, podobny do kupy długich belek, pośród których sterczało coś dziwnie niekształtnego, a wszystko to pokryte było dużą płachtą płócienną, mającą pozór całunu. Przed wozem jechało dziesięciu konnych żołnierzy, tyluż za wozem. Ludzie ci mieli kapelusze trójgraniaste, a nad ich barkami sterczały ostrza, które zdawały się być obnażonemi pa-

łaszami. Cały ten orszak postępował zwolna i czarno odbijał na widnokręgu. Wóz zdawał się być czarnym, zaprząg czarny i jeźdźcy wydawali się czarni. Za nimi bladawo szarzał poranek.

Wjechało to do wioski i skierowało się ku rynkowi.

Podczas spuszczania się wozu ze wzgórza rozwidniało trochę i można było wyraźnie widzieć orszak, który zdawał się być pochodem cieniów, bo ani jedno słowo z niego nie wyszło.

Jeźdźcy byli żandarmami i wistocie mieli pałasze obnażone. Płachta na wozie była czarna.

Biedna błąkająca się matka także weszła do wioski i zbliżyła się do gromadki włościan w chwili, gdy żandarmi z wozem przybyli na rynek. W tej gromadce głosy szeptały pytania i odpowiedzi.

— Co to takiego?

— To gilotyna przechodzi.

— Zkąd przybywa?

— Z Fougères.

— A dokąd idzie?

— Nie wiem. Powiadają, że idzie do zamku w okolicach Parigné.

— Do Parigné!

— Niech sobie idzie gdzie chce, byle się tu nie zatrzymała.

Ten duży wóz ze swoim ciężarem, osłonionym jakby chustą śmiertelną, ten zaprząg, ci żandarmi, ten brzęk łańcuchów, milczenie tych ludzi i pora przedświtowa — wszystko to razem było jakiemś złowrogiem widmem.

Widmo to przemknęło przez rynek i opuściło wioskę; że jednak wieś była w dolinie między dwoma wzgórzami, więc po kwadransie wieśniacy, stojąc jeszcze jakby skamieniali, znów zobaczyli posępny korowód na wierzchołku wzgórza od strony zachodniej. Grube koła stukały w kolejach na nierównej drodze, łańcuchy zaprzęgu szczękały na wietrze po-

rannym, pałasze połyskiwały; słońce weszło, droga skręciła się i wszystko zniknęło.

Było to właśnie w chwili, gdy w sali biblioteki Jurcia obudziła się obok swoich braciszków jeszcze uśpionych i mówiła dzień dobry swoim różowym nóżkom.

II.

Śmierć mówi.

Matka patrzyła na ten posępny korowód, ale nie zrozumiała go, ani się starała zrozumieć, mając przed oczyma inne widzenie—swoje dzieci zagubione w ciemnościach.

I ona także wyszła z wioski wkrótce po owym orszaku i postępowała tą samą drogą, w pewnej odległości za drugim oddziałem żandarmów. Nagle, przypomniała sobie wyraz „gilotyna.“ „A! gilotyna,“ pomyślała. Ta dzika Michalina Fléchard nie wiedziała, co to takiego, ale instynkt ją ostrzegł i mimowolnie drgnęła; zdawało jej się okropnem iść tuż za tą rzeczą; zawróciła więc na lewo, opuściła gościniec i szła pod drzewami, należącemi do lasu Fougères.

Pobłąkawszy się czas pewien, zobaczyła dzwonnicę i dachy; była to jedna z wiosek na skraju lasu i kobieta tam poszła. Była głodną.

I weszła na plac przed merostwem.

W tej wiosce także panowała niespokojność, wzruszenie i trwoga. Tłum ludzi cisnął się na schody ganku przed merostwem. Na tym ganku stał człowiek eskortowany przez żołnierzy i trzymający w ręku duży rozwinięty afisz. Ten człowiek miał po prawej stronie dobosza, a po lewej afiszera, który niósł garnek z klajstrem i pendzel.

Na balkonie, ponad gankiem, wiodącym do merostwa, stał mer, przepasany wstęgą trójkolorową na wieśniaczem odzieniu.

Człowiek z afiszem był woźnym publicznym.

Miał na sobie temblak podróżny, do którego przyczepione były małe sakwy, co wskazywało, że chodził z wioski do wioski i że miał coś obwieszczać w całej okolicy.

W chwili, gdy Michalina Flechard zbliżyła się do merostwa, woźny właśnie rozwinął afisz i rozpoczął czytanie. I wołał wielkim głosem:

— „Rzeczpospolita francuska, jedna i niepodzielna.“

Dobosz uderzył w bęben. W tłumie zrobiło się poruszenie, jakby kołyszącej się fali. Niektórzy zdjęli czapki; inni nacisnęli kapelusze na oczy. W owym czasie i w owych okolicach można było prawie rozpoznać opinie polityczne po okryciu głowy; kapelusze oznaczały rojalistów, a czapki republikanów. Szmery pomieszanych głosów ustały, tłum słuchał, woźny czytał:

...Na mocy danych nam rozkazów, oraz władzy delegowanej nam przez Komitet ocalenia publicznego...“

Tu dobosz powtórnie uderzył w bęben. Woźny czytał dalej:

... tudzież w wykonaniu dekretu Konwencyi narodowej, który wyjmuje z pod opieki prawa buntowników, schwytanych z bronią w ręku, i który skazuje na karę główną każdego, co da im schronienie lub do ucieczki dopomoże...“

Jeden wieśniak zapytał pocichu swego sąsiada:

— Co to jest kara główna?

— Nie wiem.

Woźny potrząsnął afiszem:

„... Zważywszy, że artykuł 17 prawa z 30 kwietnia daje wszelką władzę delegowanym i podde-legowanym przeciw buntownikom.

„Wyjęci są z pod prawa...“

Tu woźny umilkł na chwilę i znów czytał:

„Osoby wskazane pod następującemi nazwiskami lub przezwiskami...“

Wszyscy w tłumie nadstawili ucha.

Głos woźnego stał się grzmiącym. Czytał dalej:

„... Lantenac, rozbójnik.“

— To nasz jaśnie pan—szepnął jeden wieśniak.

W całym tłumie przebiegły szepty: — To nasz jaśnie pan.

Woźny znów czytał:

„... Lantenac, były margrabia, rozbójnik.

Wilkolak, rozbójnik...“

Dwóch chłopów spojrzało na siebie z boku.

— To Gouge-le-Bruant.

— A także niebiesko-żerca.

Woźny czytał dalej listę.

„...Wielkie Serce, rozbójnik...“

Tłum zaszemrał:

— To ksiądz.

— Tak, ksiądz proboszcz Turmeau.

A tak, ma parafię za lasem Chapelle, to proboszcz.

— I rozbójnik—dodał człowiek w czapce.

Woźny czytał:

„...Boisnouveau, rozbójnik.—Dwaj bracia Dzidy, rozbójnicy.—Huzar, rozbójnik...“

— To pan z Quellen, dziedzic—rzekł jeden chłop.

„...Kosz, rozbójnik...“

— To dziedzic Sepher.

„...Wymiatacz, rozbójnik...“

— To dziedzic Jamois.

Woźny czytał dalej, nie zważając na te objaśnienia:

„...Guinoiseau, rozbójnik. — Chatenay, zwany Treſnisiem, rozbójnik...“

Jeden chłop szepnął:

— Guinoiseau, to ten sam, co Jasnowłosy, a Chatenay jest z Saint-Ouen.

„...Hoisnard, rozbójnik"—czytał woźny.

A w tłumie wyszeptano:

— Dziedzic z Ruillé.

— Tak, to Złoty Konar.

— Jego brat zginął przy szturmie do Pontorson.

— A tak, Hoisnard-Ceglarz.

— Śliczny dwudziestoletni panicz.

— Uwaga! — krzyknął woźny. Czytam koniec listy:

„...Winnica, rozbójnik. — Kobza, rozbójnik. Rębacz, rozbójnik.—Romansik, rozbójnik..."

Jeden wyrostek trącił w łokieć stojącą obok dziewczynę. Dziewczę uśmiechnęło się.

Woźny czytał:

„...Śpiewaczek, rozbójnik.—Kot, rozbójnik..."

Jeden wieśniak objaśnił:

— Nazywa się Mulard.

„...Tabouze, rozbójnik.

— To Młot—objaśnił chłop.

— Jest ich dwóch—dodała jedna kobieta.

— A oba zuchy—mruknął wyrostek.

Woźny potrząsnął afiszem, a dobosz zabębnił.

Woźny tak dalej czytał:

„...Wyżej wymienieni, gdziekolwiek ujęci zostaną, po sprawdzeniu tożsamości osoby, będą natychmiast ukarani śmiercią."

Zrobiło się poruszenie.

Woźny czytał jeszcze:

„...Ktokolwiek da im schronienie lub pomoże im do ucieczki, będzie stawiony przed sądem wojennym i ukarany zostanie śmiercią. Podpisano..."

Nastało głębokie milczenie.

„...Podpisano: delegowany Komitetu ocalenia publicznego, CIMOURDAIN."

— Ksiądz—rzekł jeden chłop.

— Dawny proboszcz parafii Parigné — rzekł drugi.

A jeden mieszczanin dodał:

— Turmeau i Cimourdain. Ksiądz biały i ksiądz niebieski.

— A obadwaj czarni—wtrącił drugi mieszczanin.

Mer, stojąc na balkonie, podniósł w górę swój kapelusz i krzyknął:

— Niech żyje rzeczpospolita!

Dobosz znów zabębnił, dając znać, że woźny jeszcze nie skończył. Wistocie skinął ręką.

— Uwaga!—rzekł. Przeczytam jeszcze ostatnie cztery wiersze afisza rządowego. Podpisane są przez dowódcę oddziału ruchomego wojsk Brzegów Północnych, majora Gauvain.

— Słuchajcie!—odezwały się głosy z tłumu.

I woźny czytał:

— „Pod karą śmierci..."

Wszyscy umilkli.

„...Zabrania się, na mocy powyższego rozkazu, nieść jakąkolwiek pomoc dziewiętnastu buntownikom wyżej wymienionym, którzy w tej chwili są otoczeni i osaczeni w wieży Tourgue."

— Co? Tourgue?—powtórzył, pytając jeden głos.

Był to głos kobiety. Był to głos matki.

III.

Szeptania włościan.

Michalina Fléchard przyłączyła się do tłumu. Wprawdzie nie słuchała, ale można nie słuchać, a słyszeć. Usłyszała wyrazy: wieża Tourgue i podniosła głowę.

— Co?—powtórzyła—Tourgue?

Spojrzano na nią. Miała minę obłąkaną, była w łachmanach. Słychać było szemrania: — Wygląda na rozbójnicę.

Jedna wieśniaczka, która niosła w koszu placki gryczane, zbliżyła się do niej i szepnęła pocichu:

— Cicho bądźcie.

Michalina Fléchard spojrzała z osłupieniem na tę kobietę. Znów nic już nie rozumiała. Nazwa Tourgue przemknęła jak błyskawica i znów nastała noc w jej umyśle. Alboż nie miała prawa zasięgać wiadomości? Dlaczegoż więc tak na nią patrzano?

Tymczasem dobosz zabębnił po raz ostatni, afiszer przylepił afisz, mer powrócił do merostwa, woźny ruszył w drogę do innej wioski i tłum się rozchodził.

Przed afiszem pozostała gromadka. Michalina Fléchard zbliżyła się do niej.

Rozmawiano o rojalistach, wyjętych z pod prawa.

W gromadce byli chłopi i mieszczanie, to jest Biali i Niebiescy.

Jeden chłop powiedział:

— Mniejsza o to, nie wszystkich jeszcze mają. Dziewiętnastu, to tylko dziewiętnastu. Nie mają jeszcze w swem ręku ani Rion'a, ani Beniamina Moulin, ani Goupila z parafii Andouillé.

— Ani Lorieulla z Monjean—rzekł drugi chłop.

Inni dodali:

— Ani Brice-Denysa.

— Ani Franciszka Dudouet.

— A tak, Dudouet z Laval.

— Ani Hueta z Launey-Villiers.

— Ani Gregisa.

— Ani Pilona.

— Ani Filleula.

— Ani Meniceuta.

— Ani Guéharra.

— Ani trzech braci Lorgerów.

— Ani pana Lechandelier z Pierreville.

— Cicho, niedołęgi!—przerwał surowym tonem jeden starzec z siwemi włosami. Jeżeli mają Lantenaca, mają wszystkich.

— Jeszcze go nie mają—mruknął jeden z młodych.

Starzec odparł:

— Gdy wezmą Lantenaca, wezmą duszę. Gdy Lantenac zginie, Wandea będzie zabitą.

— Któż to jest ten Lantenac? — spytał jeden mieszczanin.

Drugi odpowiedział:

— To arystokrata, były margrabia i były książę bretoński.

A trzeci dodał:

— Jeden z tych, co rozstrzeliwają kobiety.

Michalina Fléchard usłyszała to i rzekła:

— To prawda.

Obrócono się na jej głos.

A ona dodała;

— A tak, bo i mnie rozstrzelano.

Słowa te wydały się osobliwemi; sprawiły bowiem takie wrażenie, jakby żywa osoba mówiła, że jest umarłą. I wszyscy przypatrywali się jej trochę z ukosa.

Wistocie widok jej mógł niepokoić; drżącą, wylękłą, byle co dreszczem przenikało; miała jakąś dziką trwożliwość i była tak przestraszoną, że strach budziła w drugich. W rozpaczy kobiety jest jakaś słabość, która przeraża. Zdajesz się widzieć istotę zawieszoną na krańcu przeznaczenia. Wieśniacy jednak nie brali rzeczy tak głęboko. Jeden z nich mruknął:—Może to i szpieg, ta kobieta.

— Cichobyście byli i idźcie już sobie ztąd— szepnęła jej do ucha poczciwa kobiecina, która już raz do niej mówiła.

Michalina Fléchard odpowiedziała:

— Nie robię nic złego, szukałam moich dzieci.

Poczciwa kobiecina spojrzała na tych, co się przypatrywali Michalinie Fléchard, dotknęła palcem swego czoła, mrugając oczyma, i rzekła:

— To waryatka.

Potem odprowadziła ją na bok i dała jej placek z gryczanej mąki.

Michalina Fléchard, nie dziękując, chciwie ugryzła kawał placka.

— Prawda — rzekli wieśniacy — je jak zwierzę, widocznie waryatka.

I reszta gromadki się rozproszyła. Wszyscy odeszli jeden po drugim.

Podjadłszy, Michalina Fléchard rzekła do wieśniaczki:

— To dobrze, jużem zjadła, a teraz gdzie jest Tourgue?

— Masz tobie, znów swoje prawi! — krzyknęła wieśniaczka.

— Muszę iść do Tourgue. Wskażcie mi drogę do Tourgue.

— Ani myślę! — rzekła wieśniaczka. Chyba chcecie, żeby was tam zabili? Zresztą, nie znam drogi. No proszę, więc wy widać naprawdę jesteście waryatką? Posłuchajcie, biedna kobieto, macie minę znużoną. Możebyście odpoczęli u mnie?

— Ja nie odpoczywam—rzekła matka.

— Biedaczka, ma nogi pokrwawione—mruknęła wieśniaczka.

Michalina Fléchard odezwała się znów:

— Przecie wam mówiłam, że skradziono mi dzieci. Dziewczynkę i dwóch chłopczyków. Przybywam z nory w lesie. Można się o mnie dowiedzieć od Tellmarcha. A jeszcze od człowieka, którego spotkałam tam w polu. Tellmarch mnie wyleczył. Zdaje się, że miałam coś złamanego. Byłam rozstrzelaną, a jednak ożyłam. Wszystko to święta prawda. Jest jeszcze sierżant Radoub. Można i z nim pomówić, on powie o mnie. On to bowiem spotkał nas

w lesie. Spotkał nas czworo. Powiadam wam, że troje dzieci. A nawet powiem, że starszemu na imię Jan. I mogę tego dowieść. Drugi nazywa się Alan, a dziewczynce na imię Jurcia. Mój mąż nie żyje. Zabili go. Był dzierżawcą w Siscoignard. Zdajecie się być dobrą. Pokażcież mi drogę. Nie jestem waryatką, jestem matką. Zgubiłam dzieci i szukam ich. Taka jest święta prawda. Nie wiem dobrze, zkąd przybywam. Tej nocy spałam na słomie w stodole. A teraz idę do Tourgue. Nie jestem złodziejką. Widzicie, że mówię prawdę. Należałoby mi dopomódz do znalezienia dzieci. Nie jestem z tych stron. Byłam rozstrzelaną, ale nie wiem gdzie.

Wieśniaczka potrząsnęła głową i rzekła:

— Posłuchajcie, podróżna. W tych czasach rewolucyjnych nie trzeba mówić rzeczy, których się nie rozumie. Mogą was za to aresztować.

— Ależ ja muszę iść do Tourgue! — zawołała matka.—Na miłość Boską, pani, w imię Dzieciątka Jezus i Najświętszej Panny proszę cię, pani, błagam cię, zaklinam, powiedz mi, którędy droga do Tourgue!

Wieśniaczka się rozgniewała.

— Nie wiem! A choćbym wiedziała, nie powiem! Są to miejsca bardzo złe; tam się nie chodzi.

— A jednak ja tam idę—rzekła matka.

I ruszyła w drogę.

Wieśniaczka spojrzała za odchodzącą i mruknęła:

— Trzebaż przecie, żeby jadła.

I pobiegła za Michaliną Fléchard, i wetknęła jej w rękę placek gryczany.

— Macie to na wieczerzę.

Michalina Fléchard wzięła placek, nic nie odpowiedziała, nie obróciła głowy i szła dalej.

Tak wyszła z wioski. Dochodząc do ostatnich domów, spotkała przechodzących troje małych dzieci, obdartych i bosych. Zbliżyła się do nich i rzekła:

— A te, to dwie dziewczynki i jeden chłopiec. I widząc, że patrzyły na jej placek, dała im go. I weszła w głąb lasu.

IV.

Omyłka.

Tymczasem, w tym samym dniu przed świtem, w ciemnościach niewyraźnych lasu, działy się takie rzeczy na drodze z Javené do Lecousse:

W Bocage każda droga idzie jarem; szczególniej droga z Javené do Parigné przez Lecousse idzie pośród dwóch spadzistych i wysokich brzegów. Prócz tego jest kręta. Jest to raczej wąwóz niż droga. Wychodzi ona z Vitré i onego czasu miała zaszczyt trząść karetę pani Sevigné [1]). Z prawej i z lewej strony droga ta jest jakby ogrodzona żywopłotami. Niepodobna znaleźć lepszego miejsca na zasadzkę.

W owym dniu, na godzinę przedtem jak Michalina Fléchard na drugim końcu lasu przybyła do pierwszej wioski, gdzie miała grobowe widzenie wozu eskortowanego przez żandarmów, w gęstych krzakach, na drodze w Javené za mostem na Couesnon krzątali się ludzie niewidzialni. Gałęzie wszystko zakryły. Ludzie ci byli wieśniakami o krótkich kożuszkach, jakie w szóstym wieku nosili królowie bretońscy, a w ośmnastym chłopi. Ci ludzie byli uzbrojeni, jedni w strzelby, drudzy w siekiery. Ci, co mieli siekiery, przygotowali na polance stos z suchych gałęzi i z okrąglaków, pod które dość było

---

[1]) W siedmnastym wieku. Sławna listami, które pisywała do swojej córki i których styl ma niezrównany powab.

tylko podłożyć ogień. Ci, co mieli strzelby, uszykowali się po obu stronach drogi w postawie wyczekującej. Ktoby mógł przejrzeć przez gęste liście, zobaczyłby wszędy palce przyłożone do kurków, a luſy zatknięte w przedziałach, jakie tworzą gałęzie poplątane jedne z drugiemi. Ci ludzie stali na czatach. Wszystkie strzelby zwrócone były na drogę, którą rozwidniały brzaski dzienne.

W mroku krzaków rozmawiały ciche głosy.

— Czy jesteś tego pewnym?

— Przynajmniej tak mówią.

— Więc ma tędy przechodzić?

— Mówią, że jest w tych stronach.

— Nie trzeba jej przepuścić.

— Trzeba ją spalić.

— Potośmy tu przyszli z trzech wiosek.

— Tak, ale eskorta?

— Zabijemy eskortę.

— Czy tylko pewno przechodzić ma tą drogą?

— Tak powiadają.

— Więc w takim razie idzie z Vitré?

— Czemużby nie?

— Bo mówiono, że idzie z Fougères.

— Mniejsza o to zkąd idzie, czy z Fougères, czy z Vitré, zawsze idzie od dyabła.

— Prawda.

— I trzeba, żeby do niego wróciła.

— Naturalnie.

— Więc do Parigné idzie?

— Zdaje się.

— Nie pójdzie tam.

— Nie.

— Nie, nie, nie pójdzie!

— Baczność!

Wistocie roztropność nakazywała przerwać rozmowę, bo już trochę dniało.

Nagle ludzie ukryci w zasadzce wstrzymali oddech; usłyszano turkot kół i stąpania koni. Wieśnia-

cy wyjrzeli przez gałęzie i zobaczyli niewyraźnie w głębokiej drodze długi wóz, eskortę konną i coś na wozie. Zbliżało się to do nich.

— Mamy ich nareszcie! — rzekł chłop, który zdawał się być dowódcą.

— Tak jest—dodał jeden z wysłanych na zwiady—jest wóz z eskortą.

— Ilu ludzi w eskorcie?

— Dwunastu.

— Mówiono, że jest dwudziestu.

— Dwunastu, czy dwudziestu, zabijmy wszystkich.

— Zaczekajmy, aż się zbliżą na strzał.

Wkrótce potem na zakręcie drogi ukazały się wóz i eskorta.

— Niech żyje król!—krzyknął dowódca chłopów.

Sto strzałów rozległo się współcześnie.

Gdy dym prochu się rozproszył, eskorta także była rozproszona. Siedmiu jeźdźców padło, pięciu uciekło. Wieśniacy pobiegli do wozu.

— Masz tobie! — zawołał dowódca chłopów — nie gilotyna! To drabina!

Wistocie całym ładunkiem wozu była długa drabina.

Dwa konie ranione, padły; woźnica był zabity, ale nieumyślnie.

— Mniejsza o to—rzekł dowódca—eskortowana drabina jest także podejrzaną. Szło to w stronę Parigné, a więc z pewnością miało służyć dla szturmu do wieży Tourgue.

— Spalmy drabinę—krzyknęli wieśniacy.

I spalili drabinę.

Co do ponurego wozu, na który czekali, szedł on inną drogą i był już o dwie mile dalej w wiosce, gdzie Michalina Fléchard widziała, jak przechodził o wschodzie słońca.

V.

Vox in deserto [1]).

Michalina Fléchard, minąwszy troje dzieci, którym swój chleb oddała, szła lasem na chybi trafi. Skoro nie chciano wskazać jej drogi, musiała sama jej szukać. Kiedy niekiedy przysiadła na chwilę, wstała potem i znów przysiadła. Doznawała ona owego znużenia złowrogiego, które najprzód muskuły napada, a potem przechodzi w kości: znużenia niewolnicy. Wistocie też była niewolnicą. Niewolnicą swoich dzieci zatraconych. Trzeba było je znaleźć; każda minuta upłyniona mogła być ich zgubą; kto ma taką powinność, ten już nie ma prawa; nie wolno mu spoczywać. A jednak była bardzo znużona. Wycieńczenie jej doszło do tego stopnia, że każdy krok dalszy był jakby kwestyą życia. Stawiż ten krok jeszcze? Szła od rana, nie spotkała ani wioski, ani nawet chaty. Zrazu weszła na ścieżkę, którą iść należało, potem zboczyła na mylną drogę, a w końcu zabłąkała się wśród gałęzi zupełnie do siebie podobnych. Czy zbliżała się do celu? Czy już była u kresu swej męki? Niestety, była na drodze Bolesnej i czuła znękanie ostatnie stacyi pasyjnej. Maż upaść na drodze i wyzionąć ducha? W pewnych chwilach niepodobna jej było postąpić naprzód; słońce zachodziło, w boru ciemniało, ścieżki niknęły pod zielem, i biedna matka nie wiedziała, co z sobą począć. Jedyną jej podporą był Bóg. I zaczęła wołać, ale nikt nie odpowiedział.

Obejrzała się dokoła, dostrzegła widne niebo pomiędzy gałęźmi, skierowała się w tę stronę i nagle poznała, że już nie jest w lesie. Przed nią ciągnęła się wązka dolina, niby parów, w głębi którego ście-

[1]) Głos na pustyni.

kała po kamieniach strużka czystej wody. Wówczas kobieta uczuła, że ją pali pragnienie. Zbliżyła się do strugi, uklękła i piła.

I skorzystawszy z klęczącej postawy, jęła się modlić.

Potem wstając, rozglądała się w okolicy i szukała drogi.

I przestąpiła strumień.

Za parowem, jak tylko oko sięgnąć może, roztaczało się rozległe płaskowzgórze, pokryte nizkiemi krzakami, które począwszy od strumyka, wciąż wznosiły się w górę i zapełniały cały widnokrąg! Las był puszczą, a to płaskowzgórze było pustynią. W lesie za każdym krzakiem można było kogoś spotkać; na płaskowzgórzu, jak daleko sięgnąłeś wzrokiem, nic nie widziałeś. Tylko kilka ptaków, zdających się uciekać, leciało w krzaki.

Naówczas, wobec niezmiernego opuszczenia, czując, że kolana uginają się pod nią, i jakby wpadając w obłąkanie, nieszczęsna matka krzyknęła i rzuciła pustyni to dziwne zapytanie: — Czy jest tu kto?

I czekała odpowiedzi.

Jakoż odpowiedziano.

Rozległ się nagle głos głuchy a głęboki; głos ten wydobył się z głębi widnokręgu i kilkakroć odbił się echami; podobne to było do grzmotu piorunu lub też do huku armatniego; i zdało się, że ten głos odpowiada na pytanie matki i że mówi: — Jest!

Potem nastało milczenie.

Matka dźwignęła się orzeźwiona; był więc ktoś, zdawało jej się, że teraz ma już z kim mówić; przed chwilą napiła się i pomodliła; siły jej wróciły i jęła wstępować na wzgórze w stronę, z której słyszała grzmot dalekiego głosu.

Nagle spostrzegła, że z krańców widnokręgu wysuwa się niebotyczna wieżyca. Ta wieża stała samotna w dzikiej okolicy; promień zachodzącego słońca purpurowem światłem rumienił jej krawędzie.

Za wieżą niknęła w mgle rozległa a bujna zieloność, która była lasem Fougères.

Ta wieża ukazała się jej w tym samym punkcie widnokręgu, w którym zahuczał ów grzmot, niby odpowiedź na jej wołanie. Czyżby z tej wieży ów łoskot pochodził?

Michalina Fléchard doszła do wierzchołka płaskowzgórza i teraz miała już przed sobą tylko równinę.

Skierowała swe kroki ku wieży.

VI.

Położenie.

Chwila stanowcza nadeszła.

Nieubłagany chwycił nielitościwego w kleszcze. Cimourdain trzymał w swem ręku Lantenac'a.

Stary rojalista ujęty został w legowisku; oczywiście nie mógł już umknąć, a Cimourdain postanowił, że margrabia będzie ścięty u siebie na miejscu, w swoich dobrach i niejako we własnym domu, żeby siedlisko feudalne widziało spadającą głowę człowieka feudalnego i żeby przykład był pamiętnym.

Dlatego posłał do Fougères po gilotynę. A widzieliśmy ją już w drodze.

Zabić Lantenac'a było to zabić Wandeę, a zabić Wandeę, było to ocalić Francyę. Cimourdain nie wahał się. Człowiek ten napawał się srogością swej powinności.

Margrabia zdawał się być zgubionym; pod tym względem Cimourdain był spokojny; niepokoiła go jednak rzecz inna. Walka z pewnością będzie straszna; Gauvain ma nią kierować i zapewne zechce się do niej wmieszać; w tym młodym wodzu był zapał żoł-

nierza, człowiek ten gotów był rzucić się w zamęt walki; a jeśliby zginął? Gauvain! jego dziecię, jedyny przedmiot jego przywiązania na tej ziemi! Dotychczas Gauvain miał szczęście, ale szczęście przykrzy sobie jednostajność. Cimourdain drżał na myśl o niebezpieczeństwach grożących Gauvain'owi. Los jego miał to w sobie dziwnego, że go postawił między dwóch Gauvain'ów: jednego, którego śmierci pragnął, a drugiego, którego życie chciał zachować.

Huk armatni, co zbudził Jurcię w kolebce i przywołał matkę w głębi pustyni, zrobił jeszcze coś więcej. Czy to przypadkiem, czy też taki był zamiar celownika, kula, acz rzucona tylko na przestrogę, padając na wieżę, strzaskała i napół oderwała okucie żelazne, które osłaniało i zamykało wielką strzelnicę na pierwszem piętrze wieży. Oblężeni nie mieli czasu naprawić tej szkody.

Zresztą oblężeńcy przechwalali swoje zasoby, rzeczywiście bowiem mieli bardzo mało amunicyi. Ich położenie było jeszcze krytyczniejsze, aniżeli przypuszczali oblegający. Gdyby mieli dość prochu, wysadziliby w powietrza wieżę Tourgue i siebie z nieprzyjacielem; takie było ich marzenie; ale wyczerpały się wszystkie zasoby i zaledwie mieli po trzydzieści strzałów na człowieka. Wprawdzie było dość strzelb, krucic i pistoletów, ale nabojów mało. Ponabijali wszystką broń, żeby mogli ciągle strzelać; jak długo jednak ogień potrwa? Należało zarazem podsycać go i oszczędzać. W tem była trudność. Szczęściem—złowrogie szczęście — walka miała nadewszystko być szermierską, miała się staczać bronią sieczną, na pałasze i sztylety. Miast strzelać do siebie, miano się chwycić za bary, rąbać i siekać; taka była ich nadzieja.

Wnętrze wieży zdawało się być niezdobyte. W sali na dole, dokąd dochodziła dziura wyłomu, był szaniec, barykada umiejętnie zbudowana przez Lantenaca, która zamykała wejście. Za barykadą długi

stół, a na nim broń nabita, karabiny i dubeltówki, oraz pałasze, topory i sztylety. Nie mogąc dla wysadzenia w powietrze zużytkować więzień podziemnych, do których schodziło się z sali na dole, margrabia kazał zamknąć drzwi od piwnicy. Nad salą dolną była izba okrągła na pierwszem piętrze, do której wchodziło się po schodach krętych a wązkich; w tej izbie, jak w sali na dole, był stół pokryty bronią przygotowaną do natychmiastowego użycia; światło dzienne wchodziło tu przez wielką strzelnicę, której kraty żelazne oderwała przed chwilą kula armatnia; ponad tą izbą schody w ślimaka prowadziły do izby okrągłej drugiego piętra, gdzie były drzwi żelazne. Ta izba na drugiem piętrze zwała się „izbą drzwi żelaznych“ lub też „izbą zwierciadeł“, z powodu wielu lusterek, wiszących na starych, zardzewiałych gwoździach, wbitych w nagie ściany; osobliwsza w tej dzikiej wieżycy elegancya. Izby górne nie mogły być z pożytkiem bronione, to też owa izba zwierciadeł była tem, co Mannesson-Mallet, prawodawca fortec, nazywa „ostatnim posterunkiem, gdzie oblężeńcy kapitulują.“ Chodziło więc o niedopuszczenie oblegających aż do tego miejsca.

Izba okrągła na drugiem piętrze miała dość światła ze strzelnic, a jednak paliła się tam pochodnia, zatknięta w takim samym kagańcu, jak w sali dolnej. Wilkołak zapalił ją i tuż obok położył koniec długiego, nasiarkowanego lontu. Przygotowanie okropne.

W głębi sali dolnej, na deskach wspartych na koźle, zastawione było jadło, niby w jaskini homerycznej; duże półmiski z ryżem, z lemieszką i z potrawką cielęcą, placki, owoce, dzbany z winem i z jabłecznikiem. Jadł i pił kto chciał.

Strzał armatni ostrzegł wszystkich o blizkiej walce. Miano przed sobą już tylko pół godziny czasu.

Wilkołak z wierzchołka wieży śledził zbliżają-

cego się nieprzyjaciela. Lantenac wydał rozkaz, aby nie strzelać i dopuścić oblegających. Powiedział bowiem: — Jest ich cztery tysiące pięciuset. Zabijać z daleka nie warto. Dopuśćmy ich wewnątrz. Tu przywróci się równość.

I śmiejąc się, dodał:

— Równość, braterstwo.

Ułożono się, że Wilkołak ostrzeże trąbą, gdy nieprzyjaciel rozpocznie swoje ruchy.

Wszyscy w milczeniu stojąc za szańcem lub na stopniach schodów, czekali, trzymając jedną rękę na strzelbie, a w drugiej różaniec.

Położenie uwydatniało się i było takie:

Dla oblegających: wejść do wyłomu, zburzyć barykadę i z bagnetem w ręku zdobywać trzy sale, jedne po drugiej, na każdym stopniu dwojga schodów kręconych, walcząc pod gradem kul; dla oblężonych — umrzeć.

VII.

Wstępne układy.

Gauvain ze swojej strony przygotowywał atak. A najprzód wydał ostatnie rozporządzenia Cimourdain'owi, który, jak sobie czytelnik przypomina, miał strzedz płaskowzgórza nie należąc do walki, i Guéchamp'owi, który z głównemi siłami zbrojnemi pozostawał na obserwacyi w obozie leśnym. Ułożono się dalej, że ani dolna baterya w lesie, ani górna bateryą na płaskowzgórzu nie będą strzelały, chyba w razie wycieczki oblężeńców lub usiłowań ucieczki. Gauvain zastrzegł sobie dowództwo kolumny wyłomowej. To właśnie niepokoiło Cimourdain'a.

Słońce zaszło.

Wieża w otwartem polu podobna jest do okrętu na otwartem morzu i musi być w taki sam sposób atakowana. Nie jest to szturm, jest to raczej wskoczenie na pokład nieprzyjacielskiego statku. Obywa się to bez strzałów armatnich, bez huku niepotrzebnego. Na co się zda bombardować mury piętnaście stóp grube? Wystarcza tu dziura w burcie okrętowej: jedni usiłują wejść przez nią, drudzy bronią przystępu, a wszyscy walczą siekierami, nożami, pistoletami, pięściami i zębami. Oto i cała sprawa.

Gauvain czuł, że nie ma innego sposobu zdobycia wieży Tourgue. Nie ma nic bardziej morderczego nad atak, w którym walczący patrzą sobie oko w oko. Dowódca znał straszne wnętrze wieży, bo w dziecinnych latach tu mieszkał.

I zadumał się głęboko.

Tymczasem o kilka kroków od niego Guéchamp, jego podkomendny, z lunetą w ręku badał widnokrąg od strony Parigné. Nagle Guéchamp zawołał:

— A! Przecie!

Ten okrzyk zbudził Gauvain'a z zadumy.

— Co się stało, komendancie, że jest nakoniec drabina?

— Drabina ratunkowa?

— Tak.

— Co znowu! Albożeśmy jej nie mieli jeszcze?

— Nie, mój komendancie. I właśnie byłem z tego powodu niespokojny. Umyślny goniec, któregom był posłał do Javené, powrócił.

— Wiem o tem.

— I oznajmił, że u jednego cieśli w Javené znalazł drabinę wymaganych rozmiarów, że ją zabrał sposobem rekwizycyi, że kazał ją włożyć na wóz, że żądał eskorty dwunastu jeźdźców i że sam widział, jak eskorta, wóz i drabina ruszyły w drogę do Parigné. Poczem powrócił cwałem.

— I złożył nam ten raport. I dodał, że wóz dobrze zaprzężony ruszył około drugiej po północy

i że stanie tu przed zachodem słońca. Wiem o tem wszystkiem.

I cóż tedy?

— To, mój dowódco, że słońce już zaszło, a jeszcze nie przybył wóz z drabiną.

— Czy być może? A jednak musimy atakować. Już jest pora. Gdybyśmy jeszcze zwlekli, oblężeńcy posądziliby nas, że się lękamy.

— Można atakować, komendancie.

— Ależ drabina ratunkowa jest koniecznie potrzebna.

— Rozumie się.

— A nie mamy jej.

— Mamy.

— Jakim sposobem?

— Właśnie z tego powodu krzyknąłem: A! przecie! Wóz nie przybywał; wziąłem lunetę, zbadałem drogę z Parigné de Tourgue i jestem zadowolony, panie komendancie. Wóz idzie tam w dali z eskortą; teraz spuszcza się ze wzgórza. Możesz go pan zobaczyć.

Gauvain wziął lunetę i patrzył.

— Wistocie, widzę. Tylko niewyraźnie, bo niedość już widno. Dostrzegam jednak eskortę, tak, to ona. Zdaje mi się jednak, że eskorta jest liczniejszą niż mówiłeś.

— I mnie tak samo się zdaje.

— Są ztąd o ćwierć mili.

— Drabina będzie tu za kwadrans, komendancie.

— Można więc atakować.

Wistocie przybywał wóz, ale nie ten, o którym myśleli.

Gauvain, obracając się, zobaczył sierżanta Radoub, który stał wyprostowany, ze spuszczonemi oczami i salutował go ręką.

— Co powiesz, sierżancie Radaub?

— Obywatelu dowódco, my, ludzie batalionu Czerwonej Czapki, prosimy o jedną łaskę.

— Jaką?

— Żeby nam wolno było zginąć.

— A!—rzekł Gauvain.

— Czy obywatel dowódca będzie tak łaskaw?

— Ależ... zobaczymy—rzekł Gauvain.

— Rzecz taka, obywatelu dowódco. Od sprawy w Dol jesteśmy oszczędzani. A jest nas jeszcze dwunastu.

— Więc cóż?

— To nas upokarza.

— Jesteście rezerwą.

— Wolelibyśmy być przednią strażą.

— Potrzebuję was jednak do rozstrzygnięcia zwycięztwa pod koniec walki, więc was zachowuję na później.

— Za wiele oszczędzania.

— Wszystko to jedno. Należycie do kolumny atakowej i razem z nią idziecie.

— W tyle. A Paryż ma prawo iść naprzód.

— Pomyślę o tem, sierżancie Radoub.

— Niech obywatel-dowódca pomyśli dzisiaj. Sposobność się zdarza. Zanosi się na siarczystą bijatykę. Będzie to ogniście gorące. Wieża Tourgue sparzy palce tym, co jej dotkną. O ten właśnie zaszczyt prosimy.

Sierżant umilkł, pokręcił wąsa i tak mówił dalej głosem wzruszonym:

— A przytem, widzi-bo obywatel dowódca, w tej wieży są nasze robaczki. Mamy tam nasze dzieci, dzieci batalionu, troje naszych dzieci. Ta straszna morda plugawego zbója, co go zwą Wilkołakiem, ten Imanus, ten Dzwoniec dziobaty, ten Dyabeł rogaty, ten Plucha-topielec, ten Andrus-wisielec, ten łotr z piekła rodem, zagraża naszym dzieciom. Pomyśl, obywatelu-dowódco; naszym dzieciom, naszym robaczkom! Choćby wszystkie czarty wdały

się w tę sprawę, nie pozwolimy, żeby tym dzieciom stało się nieszczęście. Czy słyszy wysoka władza? Nie pozwolimy. Przed chwilą, skorzystawszy z tego, że nie walczono, wszedłem na wzgórze i zobaczyłem je, jak wyglądały oknem; tak, one są tam, można je widzieć z krańca parowu; i widziałam je, i one mnie widziały, i przestraszyły się te aniołki. Obywatelu, dowódco, jeśli choć jeden głos spadnie z główek tych cherubinków, klnę się na wszystkie świętości, że ja, sierżant Radoub, wytoczę proces Ojcu Przedwiecznemu. Batalion zaś nasz tak mówi: chcemy ocalić miłe robaczki, lub zginąć. Mamy do tego prawo, do stu fur bomb i kartaczy! Tak, chcemy wszyscy zginąć. A teraz z winnym respektem salutuję obywatela dowódcę.

Gauvain podał rękę Radoubowi i rzekł:

— Dzielni z was ludzie. Będziecie należeli do kolumny atakowej. Podzielę was na dwoje. Sześciu przyłączę do przedniej straży, aby szła naprzód, a drugich sześciu stawię przy tylnej straży, żeby się nikt nie cofnął.

— A czy ja jeszcze dowodzę temi dwunastoma?

— Niewątpliwie.

— Więc, obywatelu dowódco, składam dzięki, albowiem należę do przedniej straży.

Radoub salutował po wojskowemu i wrócił do szeregu.

Gauvain dobył zegarek, spojrzał, szepnął kilka słów do ucha Guéchamp'a, i kolumna atakowa zaczęła się formować.

VIII.

Słowo i ryk.

Tymczasem Cimourdain, który jeszcze nie zajął swojego stanowiska na wzgórzu i stał obok Gauvain'a, zbliżył się do trębacza.

— Zatrąb—rzekł do niego.

Trębacz zadął i odpowiedziała mu ligawka z wieży.

Odgłos trąby i odgłos ligawki powtórzyły się raz jeszcze.

— Co to jest? — spytał Gauvain Guéchamp'a. Czego chce Cimourdain?

Cimourdain postąpił ku wieży, trzymając w ręku białą chustkę.

I odezwał się doniosłym głosem:

— Hej! ludzie, co jesteście w wieży, czy znacie mnie?

Z góry wieży odpowiedział głos, głos Wilkołaka:

— Znamy.

I usłyszano taką rozmowę dwóch głosów·

— Jestem posłańcem Rzeczypospolitej.

— Jesteś dawnym proboszczem z Parigné.

— Jestem delegowanym Komitetu ocalenia publicznego.

— Jesteś księdzem.

— Jestem przedstawicielem prawa.

— Jesteś zaprzaniec.

— Jestem komisarzam Rewolucyi.

— Jesteś przeniewierca!

— Jestem Cimourdain.

— Jesteś dyabeł wcielony.

— Czy mnie znacie?

— Przeklinamy cię.

— Czy chcielibyście mieć mnie w swojej mocy?

— Jest nas tu ośmnastu, coby oddali swoje głowy, żeby mieć twoją.

— Więc dobrze, właśnie przychodzę oddać się w wasze ręce.

Na górze wieżycy rozległ się śmiech dziki i ten okrzyk:

— A chodź, chodź!

W obozie zrobiło się milczenie głębokie, oczekujące.

Cimourdain odezwał się znów·

— Pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Słuchajcie.

— Mów.

— Nienawidzicie mnie?

— Nienawidzimy.

— A ja was kocham. Jestem waszym bratem.

Głos z góry wieży odpowiedział:

— Tak, Kainem.

Cimourdain odrzekł z dziwnym przyciskiem, który był zarazem wyniosłym i łagodnym:

— Znieważajcie, lecz słuchajcie. Przychodzę tu jako parlamentarz. Tak, jesteście moimi braćmi. Jesteście biednymi ludźmi zbłąkanymi. Jam wasz przyjaciel. Ze mną jest światło prawdy, a mówię do ciemnoty. W świetle prawdy zawsze jest braterstwo. Alboż zresztą nie mamy wszyscy matki, ojczyzny? Więc słuchajcie mnie. Później dowiecie się, lub wasze dzieci, lub dzieci waszych dzieci się dowiedzą, że wszystko, co się czyni w tej chwili, jest spełnieniem praw najwyższych i że Bóg sprzyja sprawie, której ja służę. Przyjdzie czas, gdy wszystkie sumienia, nawet wasze, zrozumieją to; przyjdzie czas, gdy znikną wszystkie fanatyzmy, nawet nasze, i stanie się światłość wielka: nim to jednak nastąpi, czyliż nikt się nie zlituje nad waszą ciemnotą? Przychodzę do was, niosę wam w ofierze swoją głowę; więcej nawet czynię: podaję wam rękę. I pro-

szę was jak o łaskę: weźcie mnie; róbcie ze mną co chcecie, byleście sami ocaleli. Mam nieograniczone pełnomocnictwo i to, co mówię, uczynić mogę. Chwila jest stanowcza, robię ostatnie wysilenie. Słuchajcie, bracia. Tak jest, ten, co do was mówi, jest obywatelem, i przyznaję, w tym obywatelu jest ksiądz. Obywatel musi z wami walczyć, ale ksiądz was błaga i zaklina. Wysłuchajcie mnie. Wielu z was ma żony i dzieci. Te żony wasze i te dzieci wasze ja biorę pod swoją opiekę. Ja bronię ich przeciw wam samym. O bracia moi...

— Wynoś się, praw sobie gdzieindziej kazania! — krzyknął z szyderczym śmiechem Wilkołak.

Cimourdain mówił dalej:

— Bracia moi, zastanówcie się, nie dopuśćcie, by przeklęta wybiła godzina! Toćże zanosi się na rzeź okropną. Wielu z nas, co tu przed wami stoimy, nie ujrzy już jutrzejszego słońca; tak, wielu z nas zginie, a wy, wy wszyscy pomrzecie. Miejcież litość nad sobą samymi. Dlaczego przelewać wszystką tę krew, skoro to jest nieużyteczne? Po co zabijać tylu ludzi, gdy dwóch będzie dosyć?

— Dwóch? — spytał Wilkołak.

— Tak jest. Dwóch.

— Którzy to?

— Lantenac i ja.

I Cimourdain dodał wielkim głosem:

— Dwóch ludzi jest nadto, Lantenac dla nas, a ja dla was. Słuchajcież, co wam ofiaruję: darujemy życie wam wszystkim, dajcie nam tylko Lantenaca, mnie zaś sobie zabierzcie. Lantenac będzie zgilotynowany, a wy zrobicie ze mną, co się wam spodoba.

— Księże — zawył Wilkołak — gdybyśmy cię mieli, pieklibyśmy cię na wolnym ogniu.

— I owszem, zgadzam się na to — rzekł Cimourdain.

I dodał:

— Wy, skazani na śmierć niechybną w tej wieży, możecie wszyscy być za godzinę żywi i wolni. Przynoszę wam ocalenie. Czy przyjmujecie?

Wilkołak wybuchnął.

— Księże, jesteś nietylko zbrodniarzem, ale i szaleńcem. Po co u licha włazisz nam w drogę? Kto cię prosi, żebyś do nas gadał? My, mielibyśmy wydać jaśnie pana! Czego ty chcesz?

— Jego głowy. A wzamian ofiaruję wam...

— Swoją skórę, gdyż obdarlibyśmy cię ze skóry jak psa, proboszczu Cimourdain. Otóż nie; twoja skóra nie warta jego głowy. Idź sobie precz.

— Ależ rzeź będzie okropna. Po raz ostatni zaklinam was: zastanówcie się!

Noc zapadła podczas wymieniania tych słów posępnych, które słyszano wewnątrz i zewnątrz wieży. Margrabia Lantenac milczał i do niczego się nie mieszał. Dowódcy miewają także złowrogie egoizmy. Jest to jedno z praw odpowiedzialności. Wilkołak rzucił głos daleko po za Cimourdaina, wołając:

— Hej, ludzie, co nas atakujecie, powiedzieliśmy wam swoje warunki; są one niewzruszone i nic w nich nie zmienimy. Przyjmijcie je, a nie—to biada! Czy się zgadzacie? Oddamy wam troje dzieci, które są tutaj, a wy wzamian dacie nam wolne przejście i życie wszystkim.

— Zgoda — odpowiedział Cimourdain — wszystkim z wyjątkiem jednego.

— Kogo?

— Lantenaca.

— Jaśnie pana! Mielibyśmy wydać jaśnie pana! Nigdy.

— Trzeba wydać nam Lantenaca.

— Nigdy.

— Pod innym warunkiem nie możemy się układać.

— Więc zaczynajcie.

Nastało milczenie.

Wilkolak, zatrąbiwszy sygnał, zszedł do dolnej sali, margrabia wziął szpadę; dziewiętnastu oblężonych zgromadziło się milcząc w sali na dole i wszyscy uklękli. Słyszano miarowe stąpania kolumny atakowej, która w ciemnościach posuwała się ku wieży; odgłos ten zbliżał się; nagle oblężeńcy poczuli ich przy sobie, tuż przy otworze wyłomu. Wówczas wszyscy klęcząc, przyłożyli do twarzy kolby karabinów i dubeltówek i lufy zatknęli w szczelinach szańca. Jeden z nich, wielkie serce, który był księdzem Turmeau, wstał, i trzymając obnażony pałasz w prawem ręku, a krucyfiks w lewem, rzekł głosem poważnym:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Wszyscy razem dali ognia i rozpoczęła się walka.

IX.

Tytany przeciw olbrzymom.

Wistocie było to przerażające.

Starcie się to bezpośrednie przewyższyło wszystko, co można było sobie wyobrazić.

Chcąc napotkać coś podobnego, trzebaby cofnąć się do wielkich pojedynków Eschylesa, lub do dawnych rzezi feodalnych, do owych „walk na broń krótką“, które trwały aż do siedemnastego wieku, kiedy to dostawano się do fortec przez zasieki w rowach, broniących przystępu do bram; lub wypadałoby sięgnąć tych szturmów tragicznych, w których, jak mówi stary sierżant z prowincyi Alentejo: „Gdy miny zrobiły już swoje, oblegający zbliżą się, niosąc deski obite blachą żelazną, zaopatrzeni w tarcze i po-

suwające się przed nimi osłony, oraz sporą ilość granatów, i wyparłszy obleganych z szańców, rzucą się na samą twierdzę i opanują ją, gorąco na obrońców nacierając."

Miejsce, w którem atak nastąpił, było straszne; był to jeden z tych wyłomów, nazwanych w języku technicznym „wyłomami bez sklepienia", to jest szczelina, przenikająca mur nawskroś. Proch podziałał, jak świder. Skutek miny był tak gwałtowny, że wieża rozłupana została przeszło na czterdzieści stóp nad łożyskiem miny; ale była to tylko rozpadlina, a szpara, służąca za wyłom i dająca przystęp do sali dolnej, miała raczej podobieństwo do ciosu włóczni, która przebija, aniżeli do cięcia toporem, które wyrębuje.

Było to ukłucie w bok wieży, długie, zagłębiające się pęknięcie, coś nakształt studni bokiem na ziemi położonej; kanał kręty i wznoszący się jak kiszka nawskroś muru piętnaście stóp grubego, jakiś bezkształtny walec zawalony przeszkodami, zasadzkami i wybuchami, w których uderzało się czołem o granit, potrącało nogą o gruzy, okiem o ciemności.

Oblegający mieli przed sobą ten czarny przysionek, paszczę otchłani, której szczęki u dołu i u góry stanowiły wszystkie kamienie ściany poszarpanej. Paszcza rekina nie więcej ma zębów, jak to straszliwe rozerwanie. Trzeba było wejść do tej przepaści i wyjść z niej. Wewnątrz tego przejścia padały kule, zewnątrz, to jest w sali dolnej, wznosił się szaniec.

Tak okropne bywają tylko spotkania saperów w galeryach zamkniętych, kiedy kontr-mina przecina minę, lub rzezie toporów pod pomostami statków, uderzających na siebie w bitwach morskich. Bić się w rowie, to ostatni stopień zgrozy. Zabijać się, mając sufit nad głową, rzecz straszna. W chwili, kiedy wdarła się pierwsza fala oblegających, cały szaniec zajaśniał błyskawicami i zagrzmiał niby piorun

huczący pod ziemią. Grom napadający odpowiedział gromowi zaczajonemu. Strzały odcinały się; rozległ się krzyk Gauvain'a: Rozbijmy! Potem krzyk Lantenac'a: Trzymajcie się dobrze! A potem krzyk Wilkołaka: Do mnie, zuchy! Potem szczęk, szabla o szablę, i bez przerwy straszny ogień, zmiatający wszystko. Pochodnia, przyczepiona do muru, oświetlała niewyraźnie całą tę grozę. Niepodobieństwo rozróżnić cokolwiek: było się wśród czerwonawej ciemni; ktokolwiek tam wszedł, stawał się nagle głuchym i ślepym: głuchym od łoskotu, ślepym od dymu. Ludzie, niezdolni już do boju, leżeli pomiędzy gruzami. Deptano po trupach, tratowano rannych; miażdżono połamane członki, z pomiędzy których rozlegały się wycia; umierający kąsali w nogi walczących. Chwilami nastawała cisza straszniejsza od wrzawy. Chwytano się za szyję, słychać było przerażający oddech ust, potem zgrzyt zębów, chrapanie, przekleństwo, i znów gromy nanowo huczące. Strumień krwi wypływał z wieży przez wyłom i rozlewał się w cieniu. Ta ponura kałuża dymiła się w trawie.

Rzekłbyś, że ta wieża sama krwią się broczyła, i że ten olbrzym był ranny.

Rzecz dziwna! na zewnątrz hałas nie dochodził prawie. Noc była ciemna, a na równinie i w lesie około napadniętej fortecy, panował rodzaj spokoju grobowego. Wewnątrz piekło, zewnątrz grób. To starcie ludzi tępiących się w ciemności, te strzały, te krzyki, ta wściekłość, cały ten zgiełk zamierał pod masą murów i sklepień; odgłosom brakło powietrza; do rzezi łączyła się jeszcze duszność. Po za wieżą zaledwie coś było słychać. Dzieci spały w najlepsze.

Zażartość wzrastała. Szaniec trzymał się dobrze. Nic trudniejszego do przełamania nad ten rodzaj barykady, w kształcie wklęsłej belki. Jeżeli oblegani mieli naprzeciwko siebie liczbę, mieli znów za sobą pozycyę. Kolumna atakująca traciła wielu lu-

dzi. Wyciągnięta w szereg i wydłużona zewnątrz u stóp wieży, zapuszczała się zwolna w otwór wyłomu i skracała się jak gad wchodzący do swej nory.

Gauvain, który miewał nierozwagę młodego dowódcy, był w sali dolnej wśród boju najgorętszego, wśród gradu kul. Pochodziło to i ztąd, że miał ufność człowieka, który nigdy nie był rannym.

Gdy się odwracał w celu wydania rozkazu, błysk wystrzału oświetlił twarz jakąś blizko niego.

— Cimourdain!—zawołał—co tu robisz?

Był to wistocie Cimourdain, który odpowiedział:

— Przychodzę, aby być blizko ciebie.

— Ale przychodzisz po śmierć!

— Więc cóż z tego; a ty co tu robisz?

— Ależ ja jestem tu potrzebny. Ty nie.

— Kiedy ty tu jesteś, trzeba żebym i ja był.

— Nie, mój nauczycielu.

— Tak, moje dziecię.

I Cimourdain pozostał przy Gauvain'ie.

Stos trupów rósł na kamiennej posadzce w dolnej sali.

Jakkolwiek szaniec nie był jeszcze zdobyty, widocznem było, że w końcu liczba zwycięży. Oblegający byli odsłonięci, a oblegani byli zabezpieczeni; dziesięciu oblegających padało na jednego oblężonego; ale oblegający napływali ciągle. Oblegający wzrastali w liczbie — zmniejszała się garstka oblężonych.

Dziewiętnastu oblężonych skupiło się za barykadą, tam bowiem skierowany był atak. Mieli zabitych i rannych. Piętnastu najwyżej walczyło jeszcze. Jeden z najdzikszych, Śpiewaczek, strasznie był okaleczony. Był to Bretończyk przysadzisty, kędzierzawy, z rasy drobnej i żwawej. Miał jedno oko wyłupione i szczękę strzaskaną. Mógł jeszcze chodzić. Przyczołgał się do schodów kręconych i wszedł do

komnaty pierwszego piętra, spodziewając się, że tam będzie mógł pomodlić się i umrzeć.

Oparł się o mur przy strzelnicy i starał się zaczerpnąć trochę powietrza.

Na dole rzeź przy szańcu stawała się coraz straszniejszą. W przerwie między dwoma strzałami Cimourdain podniósł głos.

— Oblężeni!—zawołał.—Na co dalej krew przelewać? Zostaliście pochwyceni. Poddajcie się. Pomnijcie, że nas jest cztery tysiące pięćset, przeciwko dziewiętnastu, to jest więcej niż dwustu na jednego. Poddajcie się.

— Dajmy pokój gadaninie — odrzekł margrabia de Lantenac.

I grad kul odpowiedział Cimourdain'owi. Barykada nie sięgała do sklepienia; pozwalało to oblężonym strzelać przez nią, ale jednocześnie oblegającym dawało możność wedrzeć się na nią.

— Szturm do barykady! — zawołał Gauvain.— Kto na ochotnika wedrze się na nią.

— Ja—odpowiedział sierżant Radoub.

X.

Radoub.

Nastąpiła dla oblegających chwila osłupienia. Radoub wszedł przez otwór wyłomu na czele kolumny atakującej z sześciu towarzyszami, a z tych sześciu ludzi z batalionu paryzkiego czterech już padło. Gdy się odezwał: Ja!—dostrzeżono go, jak zamiast iść naprzód—cofnął się, i jak schylony, przygarbiony, pełzając prawie pomiędzy nogami walczących, zagłębił się napowrót w otwór wyłomu i wy-

szedł. Byłaż to ucieczka? Taki człowiek mógłże uciekać? Co to miało znaczyć?

Wyszedłszy za wyłom, Radoub, oślepiony jeszcze dymem, przetarł oczy, jak gdyby chciał z nich zetrzeć grozę nocy, i przy blasku gwiazd oglądał mur wieży. Kiwnął głową na znak zadowolenia, jakby chciał powiedzieć: Nie omyliłem się.

Radoub zauważył, że głęboka szczelina od wybuchu miny wznosiła się ponad wyłomem, aż do owej strzelnicy na pierwszem piętrze, w której kula działowa wyłamała i rozbiła kratę żelazną. Sieć sztab połamanych wisiała napół wyrwana, tak, że człowiek mógł przejść tamtędy.

Człowiek mógł przejść, ale czy mógł wedrzeć się do góry? Mógł przez szczelinę, pod warunkiem, że będzie kotem.

Radoub był właśnie kotem. Należał do tej rasy, którą Pindar nazywa „zwinnymi atletami.“ Można być starym żołnierzem i młodym człowiekiem; Radoub, który służył poprzednio w gwardyi królewskiej, nie miał jeszcze czterdziestu lat. Był to Herkules lekki.

Radoub postawił na ziemi karabin, zdjął lederwerki, zrzucił mundur i kamizelkę i zatrzymał przy sobie tylko dwa pistolety, które zatknął za pas od spodni, i szablę bez pochwy, którą wziął w zęby. Kolby obu pistoletów sterczały mu z za pasa.

Tak pozbywszy się ciężaru niepotrzebnego, i pod okiem tych towarzyszów z kolumny atakującej, którzy jeszcze nie weszli do wyłomu, zaczął piąć się po kamieniach w szczelinie muru, jak po stopniach wschodów. Brak trzewików wyszedł mu na pożytek; nic tak nie pomaga do wdzierania się w górę, jak bosa noga; kurczył wielkie palce we wklęsłościach kamieni. Podnosił się za pomocą dłoni, a przytrzymywał się kolanami. Ciężkie było to wdzieranie się ku strzelnicy, coś nakształt wspinania się wzdłuż zębów piły. Na szczęście, myślał Radoub, niema ni-

kogo w sali na pierwszem piętrze, bo nie pozwolonoby mi się tak gramolić.

Musiał przejść w ten sposób najmniej czterdzieści stóp. W miarę, jak się wspinał, do czego mu trochę przeszkadzały wystające rękojeście pistoletów, rozpadlina zwężała się, a droga w górę stawała się coraz trudniejszą. Możliwość upadku wzrastała jednocześnie z głębokością przepaści.

Dostał się nareszcie do parapetu strzelnicy; odchylił pogiętą i wyłamaną kratę, otwierając sobie aż nadto dostateczne wejście; podniósł się potężnym wysiłkiem, oparł kolano na gzemsie, chwycił jedną ręką ułamek sztaby z prawej strony, drugą ręką ułamek z lewej, i wyprostował się do połowy ciała przed framugą strzelnicy, z szablą w zębach, na dwóch dłoniach zawieszony nad przepaścią.

Potrzebował już tylko przełożyć nogę, ażeby wskoczyć do sali pierwszego piętra.

Ale twarz jakaś ukazała się w strzelnicy.

Radoub spostrzegł nagle przed sobą w cieniu coś przerażającego: oko wyłupione, szczękę strzaskaną, maskę krwawą.

Maska owa jedną tylko źrenicą spoglądała na niego.

Maska miała dwie ręce; te dwie ręce wynurzyły się z cienia i zbliżyły ku Radoubowi; jedna z nich wyjęła mu jedną garścią oba pistolety z za pasa, druga wyrwała mu szablę z zębów.

Radoub został rozbrojony. Kolano obsuwało mu się po powierzchni pochyłej gzemsu, obie pięście, ściskając ułamki kraty, zdołały go zaledwie utrzymać; pod sobą miał czterdzieści stóp przepaści.

Maska i owe ręce był to Śpiewaczek.

Dławiony dymem unoszącym się z dołu, potrafił zawlec się do framugi strzelnicy; tam powietrze zewnętrzne ożywiło go, chłód nocny ściął mu krew i Bretończyk odzyskał trochę sił. Nagle ujrzał zewnątrz unoszący się w otworze kadłub Radub'a; po-

nieważ zaś Radoub trzymał się sztab rękoma i miał do wyboru spaść, lub dozwolić, żeby mu broń zabrano, Śpiewaczek zatem, straszny i spokojny, wyciągnął mu pistolety z za pasa i wyjął szablę z zębów.

Rozpoczął się niesłychany pojedynek, pojedynek rozbrojonego z rannym.

Widocznie umierający miał zwyciężyć. Dosyć było jednej kuli, żeby strącić Radoub'a w otchłań otwartą pod jego stopami.

Na jego szczęście, Śpiewaczek, trzymając oba pistolety w jednej ręce, nie mógł wystrzelić z żadnego i musiał użyć pałasza. Pchnął nim Radoub'a w ramię. Pchnięcie to szablą zraniło Radoub'a i ocaliło go.

Bezbronny, ale z całym zasobem siły, nie zważał Radoub na ranę, która zresztą nie dochodziła do kości; zrobił gwałtowny ruch naprzód, puścił kraty i wskoczył do framugi.

Spotkał się tam oko w oko ze Śpiewaczkiem, który rzucił za siebie szablę i trzymał po jednym pistolecie w każdej ręce.

Przykląkłszy, celował Śpiewaczek w Radoub'a dotykając go prawie, ale ręka jego osłabiona drżała, i nie wystrzelił natychmiast.

Korzystając z tej zwłoki, Radoub parsknął śmiechem.

— Słuchaj—zawołał—ty brzydalu! czy myślisz, że mnie przestraszysz swoją mordą w kształcie pieczeni wołowej? Do licha! nadwerężono ci buzię porządnie.

Śpiewaczek mierzył do niego.

Radoub mówił dalej:

— Nie dlatego, ażebym się chciał naśmiewać, ale dyabelnie ci kule gębę zmiętosiły. Biedny chłopiec! Bellona potrzaskała mu fizyognomię. No, no, wyplujże już raz swoją kulkę, mój poczciwcze.

Strzał się rozległ, a kula świsnęła tak blizko

głowy Radoub'a, że mu oderwała połowę ucha. Śpiewaczek podniósł drugą rękę uzbrojoną w drugi pistolet, ale Radoub nie dał mu czasu do wymierzenia.

— Pozbawiłeś mnie już jednego ucha — zawołał.—Zraniłeś mnie dwa razy. Na mnie teraz kolej!

I rzucił się ku niemu. Podbił mu rękę w górę, tak, że strzał nie wiadomo gdzie ugodził, schwycił go za strzaskaną szczękę i zakręcił nią parę razy.

Śpiewaczek zaryczał i zemdlał.

Radoub przeskoczył przez niego, zostawiając go leżącego przy framudze.

— Teraz — mówił — kiedy ci oznajmiłem moje ultimatum, nie ruszaj się. Zostań sobie tam, nędzny pełzaczu. Domyślasz się zapewne, że nie będę się bawił nad dobijaniem. Czołgaj się dowoli po ziemi, współobywatelu moich chodaków. Umieraj sobie, zawsze to o tyle mniej roboty. Teraz dopiero się dowiesz, że ci twój proboszcz głupstwa tylko prawił. Idź, chamie, tam, gdzie ci objaśnią wszystkie tajemnice.

I szedł dalej w sali pierwszego piętra.

— Nic nie widać—zamruczał.

Śpiewaczek miotał się konwulsyjnie i wył, konając. Radoub odwrócił się.

— Cicho! zrób mi tę przyjemność i zamknij gębę, obywatelu. Nie wdaję się już z tobą. Dobijać cię nie myślę. Daj mi pokój.

Zapuścił rękę we włosy, przypatrując się niespokojnie konającemu.

— Ale co ja tu będę robił? Wszystko to dobrze, ale jestem bez broni. Miałem dwa strzały, zmarnowałeś mi je, ty bydlę! a tu jeszcze ten dym gryzie mnie w oczy, jak psa.

I natrafiwszy na rozdarte ucho, zawołał:

— Aj!

Po chwili mówił dalej:

— Na wiele ci się zdało, żeś mi skonfiskował

jedno ucho!... Zresztą wolę, że mi tego brakuje, niż czego innego; toć to tylko ozdoba. Zadrapałeś mnie także w ramię, ale to też drobnostka. Umieraj wieśniaku, przebaczam ci.

Przysłuchiwał się. Z sali dolnej straszny go zgiełk dochodził. Bój wrzał zaciętszy niż kiedykolwiek.

— Na dole dobrze idzie. Co prawda, wrzeszczą: niech żyje król! Zdychają szlachetnie.

Potknął się o szablę leżącą na ziemi. Podniósł ją i przemówił do Śpiewaczka, który się nie ruszał, a może już nie żył:

— Widzisz, leśny człowiecze, do tego, co ja chciałem zrobić, szabla moja, czy figa, to wszystko jedno. Zabieram ją tylko przez przyjaźń. Ale potrzebowałem pistoletów. Niech cię dyabli porwą, dzikusie! I co ja będę teraz robił? nie zdałem się tu na nic.

Postąpił parę kroków wgłąb sali, starając się rozpatrzeć w ciemności. Nagle, w półcieniu, za środkowym filarem spostrzegł stół długi, a na tym stole coś niewyraźnie świecącego. Pomacał. Były to garłacze, pistolety, muszkiety, zapas broni palnej, ułożonej w porządku i oczekującej tylko na ręce, któreby ją zużytkowały; słowem, skład w odwodzie, przygotowany przez oblężonych do drugiej części walki — cały arsenał.

— Bufet!—zawołał Radoub.

I olśniony rzucił się na broń.

Wtedy stał się strasznym.

Drzwi od schodów, prowadzących do wyższego i niższego piętra, na oścież otwarte, widoczne były tuż przy stole założonym bronią. Radoub porzucił swoją szablę, wziął w każdą rękę po jednym pistolecie dwustrzałowym i wystrzelił je naraz przez drzwi, w skręty wijących się schodów: potem schwycił krótką strzelbą i wystrzelił, następnie ujął za ciężki garłacz naładowany grankulkami i wystrzelił znów.

Garłacz, wyrzucający piętnaście kul narobił huku, jakby strzał kartaczami. Wtedy Radoub, odpocząwszy przez chwilę, krzyknął na schody grzmiącym głosem:

— Górą Paryż!

I chwytając za drugi garłacz, grubszy od pierwszego, skierował go pod kręte sklepienie schodów i czekał.

Popłoch w sali dolnej był nie do opisania. Nieprzewidziane zdziwienia tego rodzaju rozprzęgają opór.

Z potrójnego strzału Radoub'a dwie kule trafiły: jedna zabiła starszego z braci Drewniana Pika, druga położyła Houzarda, to jest pana Quellen.

— Dostali się na górę!—krzyknął margrabia.

Krzyk ten spowodował opuszczenie barykady. Stado ptaków nie prędzej się rozlata. Wszyscy na wyścigi biegli ku schodom. Margrabia zachęcał do tej ucieczki.

— Spieszcie się—mówił.—Męztwo zależy teraz na wymknięciu się. Wejdźmy wszyscy na drugie piętro. Tam rozpoczniemy nanowo.

Margrabia ostatni opuścił barykadę.

To go właśnie ocaliło.

Radoub, zaczajony przy schodach na pierwszem piętrze, czekał na tę rozsypkę, z palcem na cynglu garłacza. Pierwsi, którzy ukazali się na skręcie, przywitani zostali wystrzałem w samą twarz i padli porażeni tym gromem. Gdyby margrabia był należał do tej gromadki, jużby nie żył. Zanim Radoub zdążył pochwycić nową broń, tamci już przebiegli, a margrabia za nimi na końcu i wolniej niż wszyscy. Sądzili, że komnata na pierwszem piętrze pełna była nieprzyjaciół i nie zatrzymali się przy niej, tylko zdążali do sali drugiego piętra, do komnaty zwierciadeł. Tam były drzwi żelazne, tam lont nasiarkowany, tam trzeba było poddać się lub umrzeć.

Gauvain, równie jak oni zdziwiony strzałami na schodach i nie mogąc sobie wytłómaczyć pomocy niespodziewanej, korzystał z niej, nie starając się jej zrozumieć; przeskoczył razem ze swoimi za barykadę i szedł za uchodzącymi aż do pierwszego piętra.

Tam spotkał Radoub'a.

Radoub zaczął od ukłonu wojskowego i rzekł:

— Chwilę, dowódco. To ja tak się sprawiłem. Przypomniałem sobie Dol. Zrobiłem jak ty, obywatelu komendancie — wziąłem nieprzyjaciela we dwa ognie.

— Dobry z ciebie uczeń—rzekł Gauvain z uśmiechem.

Kiedy się jest przez jakiś czas w ciemności, wzrok przyzwyczaja się nareszcie do pomroki, jak oczy ptaków nocnych. Gauvain spostrzegł, że Radoub cały krwią zbroczony.

— Ale tyś ranny, kolego!

— Nie zważaj na to, komendancie. Jedno ucho mniej lub więcej nic nie znaczy. Mam także pchnięcie pałaszem, ale drwię sobie z tego. Kto tłucze szyby, zawsze się trochę skaleczy. Zresztą moja to tylko krew.

Dano sobie trochę wytchnienia w sali pierwszego piętra, zdobytej przez Radoub'a. Przyniesiono latarnię. Cimourdain połączył się z Gauvain'em i złożyli radę. Wistocie było się nad czem zastanowić. Oblegający nie wiedzieli, jakie jest położenie oblężonych; nie wiedzieli, że im brak amunicyi, że obrońcy twierdzy nie mieli już prochu. Drugie piętro było ostatniem stanowiskiem obronnem; oblegający mogli przypuszczać, że schody były podminowane.

To jedno tylko nie ulegało wątpliwości, że nieprzyjaciel nie mógł się wymknąć. Ci, którzy nie poginęli, byli tam, jak pod kluczem. Lantenac wpadł w pułapkę.

Będąc tego pewnym, można było dać sobie tro-

chę czasu na obmyślenie najlepszego zakończenia sprawy. Zabitych było i tak już dosyć. Należało się starać, ażeby przy tym ostatnim szturmie straty w ludziach były jak najmniejsze.

Niebezpieczeństwo tego ostatniego ataku miało być wielkie. Należało się spodziewać, że przyjdzie wytrzymać straszny ogień na razie.

Walka była przerwana. Oblegający, opanowawszy dół i pierwsze piętro, czekali z rozpoczęciem nanowo na rozkaz dowódcy. Gauvain i Cimourdain naradzali się. Radoub w milczeniu przysłuchiwał się radzie.

Zdobył się znów na nieśmiały ukłon wojskowy.

— Panie komendancie.

— Co powiesz, Radoub'ie?

— Czy mam prawo do małej nagrody?

— Zapewne. Proś, o co tylko chcesz.

— Proszę, żebym był pierwszym do szturmu.

Nie można było mu odmówić. Zresztą zrobiłby to i bez pozwolenia.

XI.

Zrozpaczeni.

Kiedy tak naradzano się na pierwszem piętrze, barykadowano się na drugiem. Powodzenie jest szałem, porażka jest wściekłością. Dwa piętra zawzięcie się zetrzeć miały. Dotykać zwycięztwa, jest to upojenie. Na dole miano nadzieję, która byłaby najpotężniejszą z sił ludzkich, gdyby rozpacz nie istniała.

Rozpacz była na górze.

Rozpacz spokojna, zimna, złowieszcza.

Dostawszy się do tej sali, do ostatniego schro-

nienia, po za którem nic już dla oblężonych nie istniało, starali się przedewszystkiem zabarykadować wejście. Zamknięcie drzwi na nic się nie przydało, zatamowanie przejścia na schodach było pożyteczniejsze. W podobnym wypadku przeszkoda, przez którą można widzieć i walczyć, więcej warta, niż drzwi zamknięte.

Przyświecała im pochodnia, zatknięta przez Wilkołaka w osadzony w murze kaganiec, w blizkości nasiarkowanego lontu.

Stała w owej sali na drugiem piętrze jedna z tych wielkich i ciężkich skrzyń dębowych, w których przechowywano odzież i bieliznę przed wynalezieniem sprzętów z szufladami.

Oblężeni przyciągnęli tę skrzynię i umieścili ją stojąco w samem wejściu na schody. Skrzynia przystawała mocno do ścian i zasłaniała wejście. Pozostała tylko pod sklepieniem wązka przestrzeń, przez którą mógł przejść człowiek, wyborna do zabijania oblegających po jednemu. Można było wątpić, ażeby się na to chciano narażać.

Zatamowanie wejścia pozwoliło oblężonym odetchnąć.

Obliczyli się.

Z dziewiętnastu pozostało już tylko siedmiu, a między nimi był Wilkołak. Jego wyjąwszy i margrabiego, wszyscy byli ranni.

Owi pięciu ranni, ale żwawi, bo w rozpłomienieniu walki każda rana, byle nie śmiertelna, pozostawia swobodę ruchów, byli to: Chatenay, przezwany Robi, Guinoiseau, Hoisnard Złoty Konar, Romansik i Wielkie Serce. Reszta poległa.

Nie mieli już amunicyi. Patrontasze były puste. Policzyli ładunki. W siedmiu, ileż mieli strzałów? Cztery.

Nadeszła dla nich chwila, w której już tylko upaść można. Przyparto ich do urwistości przepa-

ścistej i strasznej. Trudno było znaleźć się bliżej brzegu.

Tymczasem atak rozpoczął się nanowo, ale powolniejszy i tem pewniejszy. Słychać było uderzenia kolbą, któremi oblegający rozpoznawali wschody po jednym stopniu.

Ani sposób uciekać. Przez bibliotekę? Ale na płaskowzgórzu stało sześć armat wycelowanych i z lontami zapalonemi. Przez górne komnaty? Ale na cóż się to zdało? Prowadziły do platformy. A ztamtąd tylko rzucić się można było z wieży, z góry na dół.

Siedmiu pozostałych z tej bohaterskiej gromadki zamknął nieubłaganie i pochwycił ten gruby mur, który ich i zasłaniał i zarazem wrogom wydawał. Jeszcze ich nie ujęto, a już byli więźniami.

Margrabia podniósł głos:

— Przyjaciele, wszystko skończone.

I po chwili milczenia dodał:

— Wielkie Serce niech znów będzie księdzem Turmeau.

Wszyscy uklękli z różańcem w ręku. Uderzenia kolbami od strony oblegających przybliżały się.

Wielkie Serce, cały zakrwawiony od kuli, która mu drasnęła czaszkę i wyrwała skórę z włosami, podniósł prawą ręką krucyfiks. Margrabia, w gruncie sceptyk, przyklęknął.

— Niechaj każdy—rzekł Wielkie Serce—wyspowiada się ze swoich win na głos. Niech pan margrabia zacznie.

Margrabia odpowiedział:

— Zabijałem.

— Zabijałem — rzekł Hoisnard.

— Zabijałem — rzekł Guinoiseau.

— Zabijałem — rzekł Romansik.

— Zabijałem — rzekł Chatenay.

— Zabijałem — rzekł Wilkołak.

Wielkie Serce mówił dalej:

— W imię Przenajświętszej Trójcy rozgrzeszam was. Niech dusze wasze idą w pokoju.

— Amen—odpowiedziały wszystkie głosy.

Margrabia powstał.

— A teraz—rzekł—umierajmy.

— I zabijajmy—wtrącił Wilkołak.

Uderzenia kolbami zaczynały wstrząsać skrzynią drzwi zasłaniającą.

— Myślcie o Bogu—rzekł ksiądz. — Ziemia nie istnieje już dla was.

— Tak—mówił margrabia — jesteśmy w grobie.

Wszyscy schylili głowy i bili się w piersi. Margrabia tylko i ksiądz stali prosto. Oczy utkwiwszy w ziemię, modlił się ksiądz, modlili się chłopi, margrabia dumał. Skrzynia, uderzana jakby młotami, ponure wydawała odgłosy.

W tej chwili głos silny i ożywiony, rozlegający się nagle po za nimi, zawołał:

— Wszakże mówiłem Waszej Jasności.

Wszystkie głowy odwróciły się oniemiałe.

Zobaczono otwór w ścianie.

Głaz, doskonale przypasowany do innych, ale nie spojony z niemi cementem, opatrzony osiami u góry i u dołu, obrócił się na nich, jak kołowrót, a obrócony odsłonił otwór w ścianie. Głaz, zakreśliwszy ćwierć koła, utworzył dwa wejścia: jedno na prawo, drugie na lewo, wązkie, ale dostateczne, żeby jeden człowiek mógł przejść z każdej strony. Za temi drzwiami niespodzianemi widać było pierwsze stopnie wązkich schodów kręconych. Twarz człowieka ukazała się w otworze.

Margrabia poznał Halmala.

XII.

Wybawiciel.

— To ty, Halmalo?

— Ja, panie margrabio. Wasza Jasność widzi, że kamienie obracają się, że takie rzeczy istnieją, i że ztąd można wyjść. Przychodzę w samą porę. Ale trzeba śpieszyć. Za dziesięć minut można być w lesie.

— Wielki jest Bóg — rzekł ksiądz.

— Niech Wasza Jasność ucieka! — krzyknęły wszystkie głosy.

— Najprzód wy wszyscy.

— Ty pierwszy, panie margrabio — rzekł proboszcz Turmeau.

— Ja ostatni.

I margrabia mówił dalej głosem surowym:

— Dość tej walki na szlachetność. Nie mamy czasu być wspaniałomyślnymi. Jesteście ranieni. Rozkazuję wam żyć i uciekać. Prędko! Korzystajcie z tego wyjścia. Dziękuję ci, Halmalo.

— Panie margrabio—rzekł proboszcz Turmeau— czy się rozłączymy?

— Bezwątpienia, na dole. Uciekać można tylko po jednemu.

— Czy Wasza Jasność naznacza nam jaką schadzkę?

— Tak, na łączce w lesie, zwanej Kamień Gauvain'a. Czy znacie to miejsce?

— Znamy je wszyscy.

— Będę tam jutro w południe. Niech każdy, kto będzie mógł chodzić, tam się stawi.

— Będziemy wszyscy.

— I rozpoczniemy wojnę nanowo — rzekł margrabia.

Tymczasem Halmalo, starając się popchnąć ką-

mień, spostrzegł, że głaz nie da się poruszyć. Otworu nie można już było zamknąć.

— Panie margrabio — rzekł — śpieszmy się, kamień się opiera. Potrafiłem otworzyć przejście, ale nie będę mógł zamknąć go.

Istotnie, po długiem nieużywaniu, głaz raz obrócony, zaciął się w obejmujących go z góry i od dołu ścianach, i niepodobna było go poruszyć.

— Panie margrabio—mówił dalej Halmalo—spodziewałem się, że będę mógł zamknąć przejście i że Niebiescy, gdy tu wejdą, nie znajdą nikogo, nie domyślą się niczego i będą mniemali, żeśmy ulecieli z dymem. Ale oto kamień nie chce. Nieprzyjaciel zobaczy przejście otwarte i będzie mógł ścigać. Nie traćmy przynajmniej ani chwili. Co prędzej wszyscy na schody.

Wilkołak położył rękę na ramieniu Halmala.

— Towarzyszu, ile potrzeba czasu na przejście tą kryjówką i dostanie się bezpieczne do lasu?

— Czy nikt nie jest ciężko raniony? — spytał Halmalo.

Wszyscy odpowiedzieli:—Nikt.

— W takim razie kwadrans wystarczy.

— Więc—mówił Wilkołak—gdyby nieprzyjaciel dostał się tu dopiero za kwadrans...

— Mógłby nas ścigać, aleby nie dogonił.

— Ależ oni tu będą za pięć minut—rzekł margrabia; — ta stara skrzynia niedługo ich wstrzyma. Kilka uderzeń kolby i będzie po wszystkiem. Kwadrans! któż ich zatrzyma przez kwadrans?

— Ja — rzekł Wilkołak.

— Ty?

— Ja, panie margrabio. Niech Wasza Jasność wysłucha mnie. Na sześciu jest pięciu ranionych. Ja nie mam nawet draśnięcia.

— Ani ja—rzekł margrabia.

— Pan margrabia jest dowódcą, ja żołnierzem. Dowódca i żołnierz, to nie wszystko jedno.

— Wiem, każdy z nas ma inne obowiązki.

— Nie, panie margrabio, mamy jednakowy obowiązek: ocalić Waszą Jasność.

Wilkołak zwrócił się do swoich towarzyszów:

— Towarzysze, idzie o to, ażeby zatrzymać nieprzyjaciela i opóźnić pogoń, jak można najdłużej. Słuchajcie. Jam silny, bo nie straciłem ani kropli krwi; nie będąc ranionym, wytrwam dłużej, niż kto inny. Idźcie wszyscy, pozostawcie mi broń; dobry z niej zrobię użytek. Podejmuję się zatrzymać nieprzyjaciela przez dobre pół godziny. Ile jest pistoletów nabitych?

— Cztery.

— Pokładźcie je na ziemi.

Uczyniono jak żądał.

— Dobrze. Ja zostaję; będą mieli z kim pomówić. A teraz żwawo, idźcie sobie.

W położeniu nad przepaścią nikt o podziękowaniach nie myśli.

Zaledwie uściskano mu rękę.

— Do widzenia—rzekł margrabia.

— Nie, panie margrabio. Spodziewam się, że nie. Nie dowidzenia, bo ja umrę.

Wszyscy zapuścili się pojedyńczo na skręty wązkich schodów, a najprzód ranni. Podczas gdy schodzili zwolna, margrabia wyjął ołówek ze swego pugilaresu i napisał kilka wyrazów na kamieniu, który nie mógł się już obracać i zostawiał przejście otwarte.

— Niech Wasza Jasność wejdzie, was już tylko brakuje—rzekł Halmalo.

I Halmalo zaczął schodzić po schodach.

Margrabia poszedł za nim.

Wilkołak pozostał sam.

XIII.

Oprawca.

Cztery pistolety leżały na kamiennej posadzce, bo sala ta nie miała podłogi. Wilkołak wziął z nich dwa, jeden w każdą rękę.

Przybliżył się bokiem do wejścia na schody, które skrzynia tamowała i zasłaniała.

Oblegający obawiali się widocznie jakiejś zasadzki, jednego z tych rozpaczliwych wybuchów, które bywają katastrofą zarówno dla zwycięzcy, jak dla zwyciężonego. O ile pierwszy napad był gwałtowny, o tyle ostatni był powolny i ostrożny. Nie mogli, nie chcieli może gwałtownie wyważyć skrzyni; rozbili w niej dno uderzeniami kolby i poprzedziurawiali wieko bagnetami i przez te dziury starali się rozejrzeć po sali, zanim się odważą na wtargnięcie do niej.

Światło latarni, któremi oświetlili schody, przebłyskiwało przez te otwory.

Wilkołak spostrzegł w jednej z dziur przeglądające źrenice. Wycelował tam szybko lufę jednego z pistoletów i pociągnął za cyngiel. Strzał rozległ się, a Wilkołak uradowany usłyszał straszny krzyk. Kula wgniotła oko i przeszyła głowę, a zaglądający żołnierz upadł nawznak na schody.

Oblegający wyszczerbili dość szeroko dół wieka w dwóch miejscach i przebili w niem rodzaj strzelnic; Wilkołak korzystał z jednego takiego wyłupania, wsunął w nie rękę i dał na ślepo drugi strzał do gromady oblegających. Kula odbiła się prawdopodobnie, bo słychać było kilka krzyków, jak gdyby zabiła, czy raniła trzech lub czterech, a na schodach powstał wielki zgiełk, jak gdyby cofających się ludzi.

Wilkołak rzucił dwa wystrzelone pistolety i pod-

niósł dwa pozostałe; poczem trzymając oba pistolety w obu rękach, zaglądał przez dziury w skrzyni.

Przekonał się o pierwszym skutku swych strzałów.

Oblegający zeszli ze schodów; ranni śmiertelnie wili się na nich; skręt linii spiralnej dozwalał widzieć trzy tylko, czy cztery stopnie.

Wilkołak czekał.—Zawsze to czas zyskany, pomyślał sobie.

Po chwili spostrzegł człowieka, który na brzuchu czołgał się w górę po stopniach schodów i jednocześnie, niżej, głowa żołnierza ukazała się za filarem, około którego wiły się schody. Wycelował do tej głowy i strzelił. Słychać było krzyk, żołnierz upadł, a Wilkołak przełożył z lewej ręki w prawą ostatni nabity pistolet, który mu jeszcze pozostał.

W tej samej chwili uczuł straszny ból i sam z kolei zaryczał. Szabla świdrowała mu we wnętrznościach. Pięść czołgającego się człowieka wysunęła się przez drugą strzelnicę u dołu skrzyni i pięść ta wepchnęła szablę w brzuch Wilkołaka.

Rana była straszna. Brzuch został rozpłatany.

Wilkołak nie upadł. Zgrzytnął tylko zębami i rzekł: Dobrze.

Potem chwiejąc się i słaniając, cofnął się ku pochodni płonącej przy drzwiach żelaznych, położył pistolet na ziemi, schwycił pochodnię i przytrzymując lewą ręką wychodzące mu wnętrzności, prawą pochylił pochodnię i zapalił lont nasiarkowany.

Lont zajął się i błysnął płomieniem. Wilkołak upuścił pochodnię, która paliła się jeszcze na ziemi; schwycił znów za pistolet i leżąc na kamiennej posadzce, ale dźwigając się jeszcze trochę, rozdmuchiwał lont resztą słabnącego już tchnienia.

Płomyk przebiegł pod żelaznemi drzwiami i dostał się do zamku na moście.

Wtedy widząc, że mu się tak ohydnie udało, więcej może zadowolony ze swej zbrodni, niż ze swego męztwa, człowiek ten, który tylko co był bo-

haterem, a w tej chwili stał się mordercą, ten człowiek umierający uśmiechnął się.

— Popamiętają mnie — szepnął. — Na ich małych zemszczę naszego małego, który jest w Temple.

XIV.

Wilkołak wymyka się.

W tej chwili rozległ się wielki łoskot; skrzynia, gwałtownie popchnięta, runęła i otworzyła przejście człowiekowi, który rzucił się do sali z szablą w ręku.

— To ja, Radoub; kto mnie sobie życzy? Znudziło mi się czekać. Ryzykuję. Tymczasem jednego już rozprułem; teraz wyzywam was wszystkich. Czy kto pójdzie za mną, czy nie, to mi wszystko jedno; ja przychodzę. Wielu was tam jest?

Był to istotnie Radoub i był sam. Po rzeczi, którą Wilkołak sprawił na schodach, Gauvain, lękając się jakiegoś podminowania, kazał się cofnąć ludziom i naradzał się z Cimourdain'em.

Radoub, stojąc w progu z szablą w ręku, wśród ciemności, którą zaledwie słabo rozświetlała przygasła już prawie pochodnia, powtórzył zapytanie.

— Jestem sam jeden. A was wielu?

Nie słysząc nic, postąpił. Jeden z tych błysków, któremi niekiedy strzelają płomienie zamierające i które możnaby nazwać łkaniami światła, wytrysnął z pochodni i rozwidnił całą salę.

Radoub dostrzegł jedno z małych zwierciadełek zawieszonych na ścianie, zbliżył się; spojrzał na swoją twarz zakrwawioną i ucho wiszące i rzekł:

— Obrzydliwie poterana!

Potem odwrócił się i osłupiał, widząc salę pustą.

— Niema nikogo! — zawołał — w szeregach zero!

Spostrzegł głaz na zawiasach, otwór i schody.

— Aha! rozumiem. Dali drapaka. Chodźcieno wszyscy! towarzysze, chodźcie! Tamci już poszli! umknęli, drapnęli, dali nura, zniknęli jak kamfora! Stara wieża wyszczerbiona jest jak skorupa. Oto dziura, przez którą wyśliznęli się te łotry. I jakże tu dać sobie rady z Pitte'm i Koburgiem przy takich farsach. Chyba lucyper przyszedł im na pomoc. Niema nikogo.

Wystrzał z pistoletu rozległ się w sali, kula drasnęła Radoub'a w łokieć i spłaszczyła się o ścianę.

— Ale nie, tu ktoś jest. Któż to taki łaskaw, że mi robi taką grzeczność?

— To ja — odpowiedział jakiś głos.

Radoub wyciągnął głowę i spostrzegł coś w półcieniu. To coś, był to Wilkołak.

— Aha! — zawołał — przecież mam jednego. Tamci uciekli, ale nie wymkniesz się.

— Tak myślisz? — odparł Wilkołak.

Radoub postąpił krok i zatrzymał się.

— He! człowieku, co leżysz na ziemi, coś ty za jeden?

— Jestem ten, który leży na ziemi i który śmieje się z tych, co stoją.

— Co tam masz w prawej ręce?

— Pistolet.

— A w lewej?

— Moje kiszki.

— Biorę cię do niewoli.

— To ci się nie uda.

I Wilkołak, zwracając się do tlejącego lontu, ostatniem swem tchnieniem podżegł ogień i skonał.

W kilka chwil potem Gauvain, Cimourdain i wszyscy byli już w sali. Każdy oglądał otwór. Przetrząśnięto wszystkie kąty, obejrzano schody prowadzące do parowu. Stwierdzono ucieczkę. Szar-

pnięto kilka razy Wilkołaka, już nie żył. Gauvain z latarnią w ręku obejrzał głaz, który otworzył wyjście oblężonym. Słyszał o tym obracającym się kamieniu, ale uważał także tę wieść za bajkę. Przypatrując się kamieniowi, spostrzegł coś napisanego ołówkiem; przybliżył latarnię i przyczytał co następuje:

— *Do widzenia, panie wice-hrabio!*

LANTENAC.

Guéchamp połączył się z Gauvain'em. Pogoń stała się widocznie bezużyteczną; ucieczka była faktem dokonanym, a uciekający mieli do swego rozporządzenia całą okolicę: krzak, parów, gęstwinę, mieszkańców. Byli już zapewne daleko, ani sposobu ich odszukać; cały las Fougères był dla nich kryjówką niezmierzoną. Co tu czynić? Wszystko trzeba było rozpoczynać nanowo. Gauvain i Guéchamp udzielali sobie wzajemnie rozczarowań i domysłów.

Cimourdain słuchał z powagą, nie mówiąc ani słowa.

— A propos, Guéchamp — rzekł Gauvain — a drabina?

— Nie przywieziono jeszcze, komendancie.

— Ale przecież widzieliśmy, jak przejeżdżał jakiś wóz pod konwojem żandarmów.

Guéchamp odpowiedział:

— Nie drabinę on przywiózł.

— A cóż?

— Gilotynę — rzekł Cimourdain.

XV.

Nie trzeba kłaść do jednej kieszeni klucza i zegarka.

Margrabia de Lantenac nie był tak daleko, jak sądzono.

Niemniej jednak znajdował się w zupełnie bezpiecznem schronieniu i pogoń dosięgnąć go nie mogła.

Poszedł za Halmalem.

Schody, przez które Halmalo i margrabia zeszli w ślad za resztą uciekających, kończyły się blizko parowu i arkad mostu wązkim korytarzem sklepionym. Korytarz ten dochodził do rozpadliny naturalnej w ziemi, która z jednej strony prowadziła do parowu, a z drugiej do lasu. Rozpadlina owa, niedostępna oczom ludzkim, wiła się kręto pod roślinnością nieprzeniknioną. Pochwycenie tam człowieka było niepodobieństwem. Uciekający, dostawszy się raz do tej rozpadliny, potrzebował tylko przemykać się jak wąż i nie można go było znaleźć. Wejście ze schodów do zakrytego chodnika tak było cierniami zarośnięte, że budujący przejście podziemne uważali za niepotrzebne zamykanie go w inny sposób.

Margrabia mógł się już teraz oddalić. Nie miał potrzeby troszczyć się o przebranie. Od chwili przybycia swego do Bretanii nie używał innego ubioru jak wieśniaczego, uważając się w nim za większego jeszcze pana.

Kiedy margrabia i Halmalo wyszli z chodnika i zapuścili się w rozpadlinę, pięciu innych: Guinoiseau, Hoisnard Złoty Konar, Romansik, Chatenay i proboszcz Turmeau, już byli daleko.

— Nie tracili czasu — rzekł Halmalo.

— Zrób tak samo — odparł margrabia.

— Wasza Jasność chce, żebym go opuścił?

— Zapewne. Już ci powiedziałem, że uciekać można tylko pojedynczo. Gdzie jeden przejdzie, dwóch się nie przemknie. We dwóch zwracalibyśmy uwagę Przez ciebie schwytanoby mnie, przezemnie schwytanoby ciebie.

— Czy Wasza Jasność zna kraj?

— Znam.

— Więc się mamy zejść przy Kamieniu Gauvain'a, na łączce leśnej?

— Jutro, w południe.

— Będę. Będziemy tam.

Halmalo zatrzymał się chwilę.

— Ach, jaśnie panie! kiedy sobie pomyślę, że byliśmy na pełnem morzu, że byliśmy sami, że ja chciałem zabić Waszą Jasność, że byliście moim panem, mogliście mi to powiedzieć i nie powiedzieliście! Co za człowiek z Waszej Jasności!

Margrabia mówił:

— Anglia. Niema innego środka. Za dwa tygodnie Anglicy muszą być we Francyi.

— Powinienbym zdać sprawę Waszej Jasności; wykonałem wszystkie wasze zlecenia.

— Pomówimy o tem jutro.

— Do jutra jaśnie panie.

— Ale! możeś głodny?

— Być może. Tak mi pilno było przybyć, że nie wiem, czym jadł co dzisiaj.

Magrabia wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady, przełamał ją na dwie części, dał połowę Halmalowi, a drugą sam jeść zaczął.

— Jaśnie panie — rzekł Halmalo — na prawo parów, na lewo las.

— Dobrze, zostaw mnie i idź w swoją stronę.

Halmalo był posłuszny. Zapuścił się w ciemność. Przez chwilę słychać było szelest odgarnianych krzaków, potem wszystko ucichło. Po kilku sekundach nie podobnaby już było natrafić na ślad jego. Ten kraj najeżony i powikłany nie do przebrnięcia był sprzymierzeńcem uciekających. Nie znikało się w nim, lecz topniało. Ta właśnie łatwość szybkiego rozpraszania się sprawiła, że wojska nasze wahały się wobec tej Wandei, niknącej zawsze, wobec tych wojowników, którzy się tak groźnie wymykali.

Margrabia stał nieruchomy. Należał do tych ludzi, którzy usiłują nic nie uczuwać, ale nie mógł uchronić się od wzruszenia, gdy po wyziewach krwi i rzezi odetchnął świeżem powietrzem. Uczuć się

zupełnie ocalonym, kiedy się było już zgubionym; przyjrzawszy się tak zblizka grobowi, posiąść całkowite bezpieczeństwo, wydrzeć się śmierci i powrócić do życia — było to wstrząśnienie dla takiego nawet jak Lantenac człowieka. I jakkolwiek doświadczał już podobnych wrażeń, nie mógł ustrzedz swej niewzruszonej duszy od chwilowego zachwiania. Przyznał się w duchu przed sobą, że był zadowolony. Poskromił szybko to uczucie, które nieledwie do radości było podobne. Wydobył zegarek i nacisnął w nim dzwoniącą sprężynę. Która też mogła być godzina?

Ku wielkiemu swemu zdziwieniu naliczył dziesięć uderzeń. Kiedy się przeszło jedną z tych kolei życia ludzkiego, w której wszystko stawione było na kartę, doświadcza się osłupienia z podziwu, że minuty, tak wypełnione wypadkami, nie były dłuższe od innych. Strzał armatni ostrzegający dany był na krótko przed zachodem słońca, a kolumna atakująca uderzyła na wieżę Tourgue w pół godziny potem, między siódmą a ósmą, przy zmroku zapadającym. Tak więc ta olbrzymia walka, rozpoczęta o godzinie ósmej, skończyła się o dziesiątej. Cała epopeja trwała sto dwadzieścia minut. Katastrofy miewają czasami szybkość błyskawicy. Wypadki takie potrzebują niekiedy zdumiewająco niewiele czasu.

Ściśle rzecz biorąc, należałoby raczej dziwić się, gdyby było przeciwnie; dwugodzinny opór tak małej liczby przeciwko tak wielkiej liczbie był nadzwyczajnym i zaprawdę, walka owa dziewiętnastu przeciwko czterem tysiącom nie była ani krótka, ani się szybko zakończyła.

Czas jednak naglił; należało oddalić się. Halmalo musiał już być daleko, a margrabia uważał, że nie potrzebował dłużej pozostawać na miejscu. Włożył zegarek do kieszeni, lecz nie do tej samej, bo zauważył, że ocierał się w niej o klucz od drzwi żelaznych, który mu Wilkołak oddał i że szkiełko od

zegarka stłuczby się o ten klucz mogło. Zamierzał udać się także do lasu. Gdy już miał skręcać na lewo, zdawało mu się, że jakiś blady promień przedzierał się do niego.

Odwrócił się i przez krzaki, wyraźnie zarysowane na tle czerwonem, które nagle stały się widoczne w najdrobniejszych szczegółach, spostrzegł wielką łunę w parowie. Kilka kroków oddzielało go tylko od parowu. Postąpił naprzód, potem się rozmyślił, uważając, że niepotrzebnie naraża się na takie światło. Zkądkolwiek zresztą mogła pochodzić ta łuna, nic go nie obchodziło. Zwrócił się więc w kierunku wskazanym przez Halmala i postąpił kilka kroków ku lasowi.

Nagle, zagłębiwszy się i ukrywszy zupełnie pod cierniami, usłyszał nad głową krzyk straszny. Krzyk ten zdawał się pochodzić z samego skraju płaskowzgórza, z ponad parowu. Margrabia podniósł oczy i przystanął.

Księga piąta.

IN DOEMONE DEUS.

I.

Znalezione, lecz zgubione.

W chwili, kiedy Michalina Fléchard spostrzegła wieżę zarumienioną od słońca zachodzącego, znajdowała się od niej o dobrą milę. Zdolna zaledwie do postąpienia paru kroków, nie cofnęła się przed tą milą. Kobiety są słabe, ale matki są silne. Poszła.

Słońce zaszło, zmierzch nastał, a po nim ciemność głęboka; idąc ciągle, kobieta słyszała bijącą zdaleka na niewidzialnej dzwonnicy godzinę ósmą, potem dziewiątą. Była to prawdopodobnie dzwonnica w Parigné. Od czasu do czasu przystawała, przysłuchując się jakiemuś głuchemu hukowi, który był może jednym z niewyraźnych łoskotów nocnych.

Szła prosto przed siebie, krusząc osty i zielska kolczaste zakrwawioną stopą. Prowadziła ją słaba jasność, która wydobywszy się z oddalonej wieży, rysowała wyraźnie kontury baszty i otaczała ją w cieniu tajemniczą promiennością. Jasność potężniała, ile razy huk stawał się wyraźniejszy, potem bladła.

Rozległe płaskowzgórze, po którem dążyła Michalina Fléchard, porosłe trawą i krzakami, puste było, bez drzewa, bez domu Wznosiło się nieznacznie i jak okiem dosięgnąć, opierało się długą, prostą i sztywną linią o widnokrąg ciemny, gwiaździsty. Podtrzymywał kobietę w tem wspinaniu się do góry ciągły widok wieży.

Widziała ją rosnącą zwolna.

Huki przytłumione i blada jasność, wydobywająca się z wieży, powracały, jak już nadmieniliśmy, w pewnych przerwach; ustawały, potem powtarzały się znów, jakby dając nieszczęsnej, strapionej matce, bolesną jakąś do rozwiązania zagadkę.

Nagle ustały; wszystko znikło, huk i jasność. Nastąpiła chwila zupełnego milczenia, rodzaj posępnej ciszy.

W tej właśnie chwili Michalina Fléchard doszła do skraju płaskowzgórza.

U stóp swoich spostrzegła parów, którego dno ginęło w sinej ciemności nocy; nieopodal, na szczycie płaskowzgórza, widziała gmatwaninę kół, nasypów, a w nich otwory, słowem bateryę dział; a przed sobą gmach wielki, jakby zbudowany z ciemności czarniejszych od nocy samej, a wyraźnie oświetlony tlejącemi w bateryi lontami.

Gmach składał się z mostu, którego arkady nurzały się w parowie, i z rodzaju zamku wzniesionego na moście; zamek zaś razem z mostem opierał się o wysoką ciemną okrągłość, to jest o wieżę, ku której to matka z tak daleka zdążała.

Przez okienka z wieży widać było błąkające się światła, a po wrzawie, dochodzącej z wewnątrz, można było odgadnąć, że pełno tam ludzi, których kilka sylwetek przez wierzch się dobywało aż na platformę.

Około bateryi było obozowisko, którego wedety Michalina Fléchard zdołała rozróżnić, ale sama nie została dostrzeżoną wśród ciemności i krzaków.

Doszła do skraju płaskowzgórza tak blizko mo-

stu, że dotknięcie go ręką zdawało jej się prawie możliwem. Od mostu jednak oddzielała ją głębokość parowu. Rozróżniła w cieniu trzy piętra zamku.

Nie wiadomo, jak długo tak stała, milcząca i zatopiona w zadumie przed tym parowem rozwartym i przed tą ponurą budowlą; miara czasu zatarła się zupełnie w jej umyśle. Co to było? co się tam działo? Czy to było Tourgue? Doznawała zawrotu jakiegoś oczekiwania, podobnego do uczucia powitania i rozłąki. Pytała sama siebie, po co tu przyszła?

Patrzyła i słuchała.

Nagle straciła wszystko z przed oczu.

Opona z dymu wzniosła się między nią a wszystkiem, na co patrzyła. Ból gryzący przymknął jej oczy. Zaledwie opuściła powieki, gdy uczuła, że świetlaną nabiegły jej purpurą. Otworzyła oczy.

Miała w około siebie nie już noc, lecz dzień; ale był to rodzaj złowieszczego światła dziennego, które płomień rozlewa. Miała przed oczami początek pożaru.

Dym czarny stał się szkarłatnym; kłębił się w nim wielki płomień; płomień ten ukazywał się, potem znikał. Takie przerażające skręty miewają błyskawice i węże.

Płomień wychodził niby język z czegoś, co miało podobieństwo do paszczy, a było oknem pełnem ognia. Okno to, uzbrojone kratą żelazną, rozpaloną do czerwoności, należało do niższego piętra zamku, zbudowanego na moście. Z całego gmachu widoczne było to okno. Dym zasłaniał wszystko inne, nawet płaskowzgórze, a na tle płomienia purpurowego widać było tylko czarne wybrzeże parowu.

Michalina Fléchard patrzyła zdumiona. Dym jest obłokiem; obłok jest snem; nie wiedziała już, co miała przed sobą. Miałaż uciekać, czy też zostać? Zdawało się jej, że jest prawie po za granicami rzeczywistości.

Powiew wiatru przeleciał i rozdarł zasłonę z dy-

mu, a z tego rozdarcia wynurzyła się całkowicie, nagle, odsłonięta Bastylia tragiczna, z wieżą, mostem i zamkiem, olśniewająca, straszna, wspaniale pozłocona od pożaru, który się na niej odbijał od góry do dołu. Michalina Fléchard mogła rozpoznać wszystkie szczegóły, rysujące się ze złowieszczą dokładnością na tle ognistem.

Dolne piętro zamku, zbudowanego na moście, paliło się. Na niem widać było dwa inne piętra jeszcze nietknięte, ale stojące jakby w koszu z płomieni. Ze skraju płaskowzgórza, na którem stała Michalina Fléchard, widać było niewyraźnie ich wnętrze przez warstwy dymu i ognia. Wszystkie okna były pootwierane.

Przez wielkie okna drugiego piętra Michalina Fléchard dostrzegła wzdłuż ścian szafy, które wyglądały jakby książkami napełnione; a niedaleko jednego okna, na ziemi, w półcieniu, małą niewyraźną kupkę, coś, co miało nieokreślony i kłębowaty pozór gniazda lub gromadki piskląt, a chwilami zdawało się poruszać.

Kobieta przypatrywała się temu.

W pewnych chwilach przychodziło jej do głowy, że to było podobne do kształtów żyjących; miała gorączkę; nic nie jadła od rana, szła bez wypoczynku, była wycieńczona i czuła się w stanie jakiegoś obłędu, któremu nie dowierzała instynktowo. A jednak oczy jej coraz uporczywiej w jeden punkt wlepione, nie mogły oderwać się od tego mglistego nagromadzenia jakichś przedmiotów, prawdopodobnie martwych na pozór i bezwładnych, leżących na podłodze tej sali, wznoszącej się nad pożarem.

Nagle ogień, jakby obdarzony wolą, sięgnął z dołu jednym ze swych wytrysków do uschniętego bluszczu, pokrywającego właśnie front, na który patrzyła. Rzekłbyś, że płomień odkrył tę sieć suchych gałęzi; iskra chciwie się na nią rzuciła i biegła wzdłuż

wici z przerażającą chyżością, jak po nasypce prochowej. W oka mgnieniu płomień dostał się do drugiego piętra, a wtedy z góry oświetlił wnętrze pierwszego. Jasne światło wydobyło nagle z cienia trzy małe uśpione istotki.

Była to drobna, prześliczna gromadka: nóżki i rączki poplątane, główki jasne, uśmiechnięte.

Matka poznała swoje dzieci.

Wydała krzyk przeraźliwy.

Matki tylko wydać są zdolne taki krzyk niewypowiedzianej trwogi. Nic nad to dzikszego, nic bardziej roztkliwiającego. Gdy go kobieta wydaje, zdaje ci się, żeś usłyszał wilczycę; gdy wilczyca nim zawyje, zdaje ci się, że słyszysz kobietę.

Krzyk Michaliny Fléchard był zawyciem. Homer mówi, że Hekuba zaszczekała [1]).

Ten właśnie krzyk usłyszał margrabia Lantenac.

Wspominaliśmy, że margrabia zatrzymał się.

Znajdował się między wyjściem z korytarza, przez który wyprowadził go Halmalo, a parowem. Przez krzaki powikłane nad sobą widział most w płomieniach, wieżę purpurową od łuny, a przez szparę między dwiema gałęziami spostrzegł z drugiej strony nad swoją głową, na skraju płaskowzgórza, naprzeciwko palącego się zamku, twarz obłąkaną i zbolałą, kobietę pochyloną nad parowem.

Ta to kobieta krzyk ów wydała.

Ta twarz nie należała już do Michaliny Fléchard, lecz do Gorgony [2]). Nędzni bywają straszliwymi. Wieśniaczka przeobraziła się w Eumenidę. Chłop-

---

[1]) Żona Pryama, króla Troi i matka 19-tu synów, między nimi Hektora, którzy wszyscy prawie zginęli podczas oblężenia tego miasta. Legenda mówi, że ją bogowie zamienili w sukę.

[2]) Gorgony, mieszkanki piekieł, według mitologii greckiej, zamieniały w kamień swem spojrzeniem. Zamiast włosów, węże miały na głowie.—Eumenidy, furye.

ka jakaś zwyczajna, ciemna, bez świadomości, przybrała nagle epiczną wielkość rozpaczy. Wielkie boleści są olbrzymiem rozszerzeniem duszy. Ta matka, to macierzyństwo; wszystko, co streszcza ludzkość, jest nadludzkiem. Stała tam, nad brzegiem parowu, przed tym żarem, przed tą zbrodnią, jak grobowa jaka potęga; krzyk miała dzikiego zwierza, a gest bogini; twarz jej, ziejąca przekleństwa, podobna była do maski płomienistej. Nic wspanialszego nad błyskawice jej oczu we łzach tonących; wzrok jej ciskał pioruny na pożar.

Margrabia słuchał. Padało to na jego głowę: słyszał coś niewyraźnego i rozdzierającego, łkania raczej, aniżeli słowa.

— Ach mój Boże! moje dzieci! To moje dzieci! ratujcie! gore! gore! gore! Czyż zbójcy jesteście? Czy niema tam nikogo? Toż moje dzieci spalą się! Jurciu, moje dzieci! Alanie, Janku! Ale cóż to ma znaczyć? Któż tam zaprowadził moje dzieci? One śpią. Jestem szalona! To niepodobieństwo. Na pomoc!

Tymczasem około wieży i na płaskowzgórzu widać było ruch wielki. Cały obóz zdążał do ognia, który tek nagle wybuchnął. Oblegający, załatwiwszy się z walką, mieli teraz do czynienia z pożarem. Gauvain, Cimourdain, Guéchamp wydawali rozkazy.

Co tu począć? Z płytkiego strumyka w parowie można było zaczerpnąć zaledwie kilka konewek wody. Strapienie wzrastało. Cały brzeg płaskowzgórza mrowił się wylękłemi postaciami, spoglądającemi na ogień.

Straszne było to, co się oczom przedstawiało.

Wszyscy patrzyli, a nikt nie mógł zaradzić.

Płomień, biegnąc po bluszczu, który się zajął, dosięgnął wyższego piętra. Tam napotkał spichlerz pełen słomy, na którą się rzucił. W jednej chwili zapłonęło całe poddasze. Płomień pląsał; radość płomieni posępna to rzecz. Zdawało się, że zbrodniczy

podmuch podsycał ten żar jeszcze. Rzekłbyś, że straszliwy Wilkołak zmienił się cały w wir iskier, żyjąc zabójczem życiem ognia, i że ta potworna dusza stała się pożarem. Piętro z biblioteką było jeszcze nietknięte; wysokość pułapu i grubość murów opóźniały chwilę wdarcia się ognia; ale fatalna owa chwila zbliżała się. Płomienie pierwszego piętra lizały już to drugie piętro, a płomienie trzeciego pieściły także. Dotykał go już straszny pocałunek śmierci. U dołu otchłań wrzącej lawy, u góry sklepienie z żaru. Za pierwszą dziurą w podłodze groziło zawalenie się w gorejącą czeluść; za pierwszą dziurą w suficie zagrzebanie pod żarem. Dzieci nie obudziły się jeszcze: przez draperye z ognia i dymu, zasłaniające kolejno i odsłaniające okna, widać je było w tej grocie ognistej, na tle światłości meteoru, spokojne, pełne wdzięku, nieruchome, jak trzy potworki uśpione w piekle. Tygrysby zapłakał, widząc te róże w tej czeluści, te kolebki w tym grobie.

Matka załamywała ręce.

— Gore! ja wołam gore! czyż wszyscy głusi, że nikt nie przychodzi? Kto mi dzieci me pali, śpieszcie przecież ludzie, co tam jesteście! Szłam i szłam tyle dni i oto, jak zastaję moje dzieci! Ogień! ratujcie! aniołki! pomyśleć, że to są aniołki! Cóż one takiego zrobiły te niewiniątka! mnie rozstrzelano, a ich palą! Któż to robi takie rzeczy! na pomoc! ratujcie moje dzieci! czy nie słyszycie! ulitowalibyście się nad suką! moje dzieci, moje dzieci! ach Jurcia! widzę brzuszek tej pieszczotki! Jasio! Alanek! tak się nazywają. Widzicie przecie, żem ja ich matka! Okropne dzieją się rzeczy. Szłam dnie i noce. Mówiłam nawet tego rana z jedną kobietą. Ratujcie! ratujcie! gore! Cóż to za potwory! To zgroza! Najstarszy niema pięciu lat, malutka niema dwóch. Widzę ich gołe nożyny! Śpią, Najświętsza Panno! ręka niebios oddaje mi je, a ręka piekieł mi je odbiera. I ja szłam tak długo! Moje dzieci, które wykarmiłam własną

piersią! byłam nieszczęśliwą, że ich znaleźć nie mogłam! Miejcie litość nademną. Ja chcę moich dzieci, ja muszę mieć moje dzieci. A przecież to prawda, że one tam są w ogniu. Patrzcie, jak moje nogi całe we krwi! Ratujcie! Niepodobna, żeby na ziemi byli ludzie i żeby pozwolili tak umrzeć tym biednym malutkim! na pomoc! mordują! Nie widziano jeszcze nic podobnego! Ach, zbójcy! Co to za straszny dom! Skradziono mi je, ażeby zabić potem! Jezu miłosierny! ja chcę moich dzieci. Och, ja nie wiem co ja zrobię! Nie chcę, ażeby zginęły! na pomoc! ratujcie! Och, gdyby miały tak umrzeć, zwaryowałabym.

Jednocześnie ze strasznem błaganiem matki, rozlegały się głosy na płaskowzgórzu i w parowie.

— Drabiny!

— Niema drabiny!

— Wody!

— Niema wody!

— Tam wysoko w wieży na drugiem piętrze, są drzwi.

— To drzwi żelazne.

— Wyłamać je!

— Niepodobna.

A matka z podwójną siłą zanosiła rozpaczliwe wołania:

— Gore! ratujcie! ale śpieszcie się! Kiedy tak, to zabijcie mnie! Moje dzieci! moje dzieci! Ach, straszliwy ogień! niech je wydobędą, albo niech mnie tam wrzucą.

W przerwach między temi krzykami słychać było spokojne trzeszczenie pożaru.

Margrabia pomacał się za kieszeń i natrafił na klucz od drzwi żelaznych. Wtedy nachylając się pod sklepienie przejścia, którem się wymknął, wszedł napowrót w korytarz, z którego wyszedł.

VI.

Od wrót kamiennych do wrót żelaznych.

Całe wojsko bezsilne wobec ratunku niemożliwego; cztery tysiące ludzi nie mogących uratować trojga dzieci; takie było położenie rzeczy.

Drabiny wistocie nie było; nie przywieziono jeszcze tej, którą wysłano z Javené, pożar się szerzył, jak rozwarty krater; próbować zagasić go wodą z wyschniętego prawie strumyka w parowie było śmiesznością i mogło znaczyć tyle, co wylanie szklanki wody na wulkan.

Cimourdain, Guéchamp i Radoub spuścili się do parowu; Gauvain wszedł do sali drugiego piętra wieży, gdzie był głaz obracający się w ścianie, tajemne przejście i drzwi żelazne do biblioteki. Tam znajdował się poprzednio lont nasiarkowany, zapalony przez Wilkołaka; ztamtąd też wyszedł pożar.

Gauvain przyprowadził z sobą dwudziestu saperów. Jeden już tylko był ratunek: wywalić drzwi żelazne. Ale drzwi straszliwie silnie były zamknięte.

Zaczęto rąbać toporami, ale topory się wyszczerbiały.

Jeden z saperów rzekł:

— Stal, jak szkło, pryska na tem żelazie.

Wrota były istotnie z kutego żelaza, z dwóch blach trzycalowych spojonych nitami.

Przyniesiono drągi żelazne i próbowano drzwi podważyć. Drągi się łamały.

— To jakby patyczki—rzekł saper.

Gauvain, posępny, rzekł do siebie.

— Chyba tylko kula wywaliłaby te drzwi; gdyby tylko można było wprowadzić tu armatę.

— I to jeszcze pytanie—zauważył saper.

Nastała chwila pognębienia. Wszystkie te bezsilne ręce opadały. Milczący, zwyciężeni, przerażeni,

ludzie ci, przypatrywali się strasznym drzwiom niewzruszonym. Czerwony blask przeświecał przez szparę u góry Po za nimi szerzył się pożar.

Odrażający trup Wilkołaka leżał tam złowieszczy, zwycięzki.

Jeszcze klka minut, a prawdopodobnie wszystko się zawali.

Co począć? nie było już żadnej nadziei.

Rozjątrzony Gauvain, utkwiwszy wzrok w kamień obracający się w murze i w przejście otwarte, którem wymknęli się oblężeńcy, zawołał:

— A przecież tędy to oddalił się margrabia de Lantenac!

— I tędy powraca—odezwał się głos jakiś.

I w kamiennych ramach ukrytego przejścia, pokazała się siwa głowa.

Był to margrabia.

Gauvain nie widział go z tak blizka od wielu lat. Cofnął się.

Wszyscy obecni, jak skamienieli, pozostali w postawie, w jakiej margrabia ich znalazł.

Margrabia trzymał w ręku gruby klucz; wyniosłem spojrzeniem zmusił do cofnięcia się kilku saperów stojących na drodze, podszedł prosto do wrót żelaznych, schylił się pod sklepienie i włożył klucz do zamku. Zamek skrzypiał, drzwi otworzyły się i odsłoniły otchłań z płomieni, w którą wszedł margrabia.

Wszedł z podniesioną głową, krokiem pewnym.

Wszyscy drżąc, śledzili go oczami.

Zaledwie margrabia postąpił kilka kroków w palącej się sali, podłoga zwęglona ogniem i naciśnięta jego stopami, runęła za nim i otworzyła przepaść między nim a drzwiami. Margrabia nie odwrócił głowy i szedł dalej. Zniknął w dymie.

I nic już nie było widać.

Czy mógł iść jeszcze dalej? Czy nie rozwarła mu się pod stopami nowa czeluść ognista? Czy po

to tylko wszedł, żeby i sam zginął? Nikt nie mógł odgadnąć. Ściana z dymu i płomieni zasłaniała wszystko. Margrabia żywy, czy też martwy, znajdował się za tą ścianą.

IX.

Budzą się dzieci, które zasnęły.

Tymczasem dzieci obudziły się nareszcie.

Pożar, który nie dosięgnął jeszcze biblioteki, rzucał na sufit różowy odblask. Dzieci nie znały tego rodzaju zorzy. Patrzyły na nią. Jurcia przypatrywała się jej ciekawie.

Pożar roztaczał cały swój przepych; czarna hydra i smok szkarłatny ukazywały się w bezkształtnym dymie, wspaniale posępnym i czerwonym. Podługowate iskry ulatywały w dal, przerzynając ciemności; rzekłbyś: walczące z sobą i ścigające się komety. Ogień jest rozrzutnością; żary są pełne klejnotów, które na wiatr rozsiewają; nie darmo węgiel jednorodny jest z dyamentem. W murze trzeciego piętra porobiły się rozpadliny, przez które pożar zlewał do parowu kaskady drogich kamieni; stosy słomy i kupy owsa palące się w śpichrzu zaczęły spływać przez okna potokami złotej kurzawy; ziarna owsa zamieniały się w ametysty, a źdźbła słomy w karbunkuły.

— Caca—rzekła Jurcia.

Podnieśli się wszystko troje.

— Ach—krzyknęła matka—budzą się!

Janek wstał, za nim wstał Gruby Alan, wstała Jurcia.

Janek przeciągnął się, podszedł do okna i rzekł:

— Gorąco!

— Aj! gojąco—powtórzyła Jurcia.

Matka zawołała:

— Moje dzieci! Janku! Alanie! Jurçiu!

Dzieci patrzyły dokoła. Starały się zrozumieć. To, co przeraża ludzi, zaciekawia dzieci. Kto łatwo się dziwi, ten się niełatwo przestrasza; nieświadomość mieści w sobie odwagę. Dzieci tak mało mają prawa do piekła, że ujrzawszy je, powniеby je podziwiały.

Matka powtórzyła:

— Janku! Alanie! Jurciu!

Janek odwrócił głowę; ten głos wyrwał go z roztargnienia; dzieci mają krótką pamięć, lecz prędko sobie przypominają; wczoraj, to już i cała ich przeszłość. Zobaczywszy matkę, nie zdziwił się Janek wcale, a czując w tem nadzwyczajnem otoczeniu nieokreśloną potrzebę opieki, zawołał:

— Mamo!

— Mamo!—rzekł Alan.

— Mamo!—rzekła Jurcia.

I wyciągnęła drobne rączęta.

A matka zawyła:

— Moje dzieci!

Wszystko troje stanęły przy oknie; na szczęście, nie z tej strony się paliło.

— Bardzo gorąco!—rzekł Janek.

I dodał:

— To parzy.

I szukał matki oczami.

— Chodźże, mamo!

— Mamo!—powtórzyła Jurcia.

Matka z rozczochranemi włosami, poszarpana, zakrwawiona, stoczyła się od krzaku do krzaku aż do parowu. Cimourdin był tam z Guéchampem, również bezsilni na dole, jak Gauvain na górze. Żołnierze w rozpaczy, że nie mogą być użyteczni, tylko się w około nich roili. Gorąco było nieznośne, a nikt go nie czuł. Rozważano stromą pochyłość mostu, wysokość arkad, wyniesienie piętr, niedostępność

okien i potrzebę szybkiego działania. Trzy piętra do przebycia. Ani sposób się tam dostać. Radoub zraniony, z rozciętą pałaszem łopatką, z oderwanem uchem, przybiegł oblany krwią i potem, spostrzegł Michalinę Flechard.

— Patrzcie — rzekł — rozstrzelana! więc zmartwychwstałaś?

— Moje dzieci!—rzekła matka.

— Słusznie — odparł Radoub — nie pora zajmować się gośćmi z tamtego świata.

I począł wdzierać się na most, ale daremnie; wpił paznogcie w kamień, wdrapywał się przez kilka chwil; ale podmurowanie było gładkie, żadnej szczerby, żadnej wypukłości; mur był tak ściśle spojony, jakby nowy i Radoub upadł. Pożar szerzył się straszliwie; w ramach zaczerwienionego okna widziano trzy jasne główki. Radoub wzniósł wtedy pięść ku niebu, jakby szukał kogoś oczami, i rzekł:

— Toż to rządy, dobry Boże!

Matka klęcząc, ściskała filary mostu i wołała:

— Łaski!

Głuche trzeszczenie mieszało się z sykiem płomieni. Szyby w szafach biblioteki pękały i padały z łoskotem. Widocznem było, że belki kruszały. Żadna siła ludzka nic tu nie mogła poradzić. Chwila jeszcze, a wszystko miało runąć. Czekano końca. Słyszano cienkie głosiki, powtarzające:

— Mamo! mamo!

Przerażenie wszystkich pożerało.

Nagle, w oknie sąsiedniem temu, w którem stały dzieci, na purpurowem tle płomienia zjawiła się wysoka postać.

Podniosły się wszystkie głowy, wszyscy utkwili w jeden punkt oczy. Tam w górze był człowiek, był człowiek w bibliotece, był człowiek w czeluści gorejącej. Postać ta odbijała czarno od płomieni, lecz włos miała siwy. Poznano margrabiego Lantenaca.

Zniknął, potem znów się ukazał.

Straszliwy starzec stanął przy oknie, trzymając drabinę. Była to złożona w bibliotece drabina ratunkowa, po którą poszedł wzdłuż ściany i którą przywlókł do okna. Chwycił ją w jednym końcu i z mistrzowską zręcznością szermierza spuścił przez okno po zewnętrznym krańcu gzemsu aż na dno wąwozu. Na dole Radoub wyciągnął jak szalony ręce, przyjął drabinę, uścisnął ją w objęciach i krzyknął:

— Niech żyje Rzeczpospolita.

Margrabia odpowiedział:

— Niech żyje król!

Radoub mruczał:

— Krzycz sobie tam, co ci się podoba, i pleć głupstwa, jeżeli chcesz; tyś dobry Bóg teraz.

Drabina stanęła, urządzono komunikacyę między płonącą salą a ziemią. Poskoczyło dwudziestu ludzi, Radoub na ich czele i w mgnieniu oka ustawili się od góry do dołu, przyparci plecami do szczebli, jak mularze podający sobie kamienie. Zrobiło to z drabiny drewnianej drabinę ludzką. Radoub na szczycie drabiny sięgał okna. Zwrócony był twarzą do ognia.

Mała armia, rozproszona po wzgórkach i zaróślach, miotana wszelkiemi naraz wzruszeniami, tłoczyła się na płaskowzgórzu, w wąwozie, na platformie wieży.

Margrabia zniknął znów, potem ukazał się niosąc dziecko.

Zagrzmiał niezmierny oklask.

Było to pierwsze, które na los pochwycił, Alanek.

Alan krzyczał:

— Boję się!

Margrabia oddał Alana Radoubowi; sierżant, nie odwracając się, podał go stojącemu za sobą poniżej żołnierzowi, a ten następnemu, i podczas gdy Alan, krzycząc z wielkiego strachu, wędrował tak z ręki do ręki aż na spód drabiny, margrabia przez chwilę

znów niewidzialny, stanął w oknie z Jankiem, który wyrywał mu się z płaczem i bił Radouba, gdy mu go margrabia oddawał.

Margrabia wrócił do sali pełnej płomieni. Jurcia została sama. Podszedł do niej. Uśmiechneła się. Granitowy ten człowiek poczuł, jak mu zwilżały się oczy.

Zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Ucia—odpowiedziała.

Wziął ją na ręce, uśmiechała się ciągle i w chwili gdy ją oddawał Radoub'owi, to sumienie, tak wyniosłe i tak ponure, olśnione zostało niewinnością; starzec pocałował dziecię.

— To nasz robaczek—rzekli żołnierze; i z kolei Jurcia zeszła od ręki do ręki na ziemię pośród okrzyków uwielbienia. Klaskano w dłonie, tupano nogami; starzy grenadyerowie łkali, a ona się do nich uśmiechała.

Matka była u spodu drabiny, zadyszana, szalona, pijana tem niespodzianem wydarzeniem, przerzucona odrazu z piekła do raju. Zbytek radości rani na swój sposób serce. Wyciągnęła ręce, odebrała najprzód Alanka, potem Jurcię, okryła wszystkie naraz pocałunkami, potem wybuchnęła śmiechem i padła zemdlona.

Rozległ się okrzyk ogromny:

— Wszyscy ocaleni!

W rzeczy samej wszyscy byli ocaleni, prócz starca.

Ale nikt o tem, może on sam nawet, nie pomyślał.

Przez kilka chwil stał zadumany w oknie, jakby chciał dać czas płomiennej otchłani do postanowienia czegoś. Potem, nie śpiesząc się, zwolna, dumnie, przekroczył okno, i nie odwracając głowy, wyprostowany, oparty plecami o szczeble, mając pożar za sobą, a przepaść przed sobą, począł w milczeniu

schodzić z drabiny z powagą widziadła. Żołnierze, stojący na drabinie, pośpieszyli na dół, wszyscy obecni zadrżeli; ustępowano przed tym człowiekiem, przybywającym z góry, jakby przed zjawiającym się duchem, ze świętą grozą. On jednak pogrążał się zwolna w pomroce, którą miał przed sobą; przybliżał się do tych, którzy się przed nim cofali; marmurowa jego bladość była bez zmarszczki, widmowe jego wejrzenie bez błysku; za każdym jego krokiem ku tym ludziom, którzy zmieszane źrenice utkwili w nim wśród ciemności, zdawał się rosnąć; drabina drżała i dźwięczała pod tą posępną stopą, rzekłbyś posąg komandora, zstępujący do grobu [1]).

Gdy margrabia był już na dole i zstąpił z ostatniego szczebla na ziemię, jakaś ręka pochwyciła go za kołnierz. Odwrócił się.

— Aresztuję cię—rzekł Cimourdin.

— Zgadzam się—rzekł Lantenac.

---

[1]) Aluzya do stąpań kamiennego posągu komandora w operze Mozarta „Don-Juan."

Księga szósta.

PO ZWYCIĘZTWIE NASTĘPUJE WALKA.

I.

Lantenac ujęty.

Margrabia wistocie zstąpił do grobu.

Poprowadzono go.

Pod surowym nadzorem Cimourdain'a otworzono niezwłocznie loch zamkowy; wniesiono lampę, dzban wody i chleb żołnierski; wrzucono pęk słomy i w kwadrans niespełna od chwili, gdy ręka księdza pochwyciła margrabiego, drzwi lochu zamknęły się za Lantenac'iem.

Po tem wszystkiem Cimourdain poszedł do Gauvain'a; na odległym kościele w Parigné biła właśnie godzina jedenasta; Cimourdain rzekł do Gauvain'a:

— Zwołam sąd wojenny, lecz ty nie będziesz w nim zasiadał. Jesteś Gauvain i Lantenac jest Gauvain. Za blizkim jesteś krewnym, abyś miał być jego sędzią; Egalité nie powinien był należeć do sądzenia Capeta. Sąd wojenny złożę z trzech sędziów: oficera, którym będzie kapitan Guéchamp, podoficera, którym będzie sierżant Radoub, i mnie, jako prezydującego.

To wszystko nic cię już nie obchodzi. Zastosujemy się do dekretu Konwencyi; ograniczymy się na stwierdzeniu tożsamości osoby byłego margrabiego Lantenac'a. Jutro sąd wojenny, pojutrze gilotyna. Wandea umarła.

Gauvain nie odpowiedział ani słowa i Cimourdain, cały zajęty wysokiem zadaniem, które miał spełnić, odszedł. Cimourdain miał wyznaczyć czas i miejsce. Jak Lequinio w Granville, jak Tallien w Bordeaux, jak Saint-Just w Strasburgu, miał on zwyczaj, w którym upatrywano dobry przykład, znajdowania się osobiście przy egzekucyach; sędzia doglądał roboty kata; zwyczaj zapożyczony przez terroryzm 1793 r. od parlamentów francuzkich i hiszpańskiej inkwizycyi.

Gauvain miał także o czem myśleć.

Chłodny wiatr dął od lasu. Gauvain, pozostawiając Guéchamp'owi wydanie potrzebnych rozkazów, poszedł do swego namiotu, rozbitego na łące pod lasem u podnóża Tourgue, i owinął się w swój płaszcz z kapturem. Płaszcz ten obszyty był prostym galonem, oznaczającym naczelnego wodza, według mody republikańskiej, skromnej w ozdobach. Chodził po tej skrwawionej łące, przez którą do szturmu ruszono. Był sam. Pożar, o który już nie dbano, trwał ciągle; Radoub znajdował się przy dzieciach i matce, tak macierzyński prawie, jak ona; zameczek mostowy dopalał się, saperzy uwijali się przy świetle pożaru; kopano doły i grzebano zabitych, opatrywano rannych, zburzono barykadę, uprzątano z trupów komnaty i schody, oczyszczano plac rzezi, wymiatano straszliwe śmietnisko zwycięztwa. Żołnierze robili z wojskowym pośpiechem to, co możnaby nazwać porządkiem po skończonej bitwie. Gauvain nic tego nie widział.

W zamyśleniu swem rzucił zaledwie okiem na straż przy wyłomie, podwojoną z rozkazu Cimourdain'a.

Rozróżniał on ten wyłom w ciemności z odda-

lenia około dwustu kroków od klina łąki, na którym zdawał się, jakby szukać schronienia. Widział ów czarny otwór. Przez niego to rzucono się przed trzema godzinami do szturmu, tamtędy to Gauvain dostał się do wieży, tam to na dole jej był szaniec oblężonych, tam były drzwi do lochu, w którym zamknięto margrabiego. Ta straż na wyłomie pilnowała go teraz.

Podczas gdy wzrok jego dostrzegał niejasno ten wyłom, ucho niewyraźnie słyszało powtarzające się, niby dźwięki dzwonu pobrzebowego, wyrazy: Jutro sąd wojenny; pojutrze gilotyna.

Ogień, który ograniczono i na który saperzy leli wszystką wodę, jaką mieli, gasł nie bez oporu i buchał od czasu do czasu płomieniem; słyszano chwilami, jak trzeszczały sufity i waliły się piętra jedne na drugie; wówczas tumany iskier wzlatywały niby ze wstrząśniętej pochodni, błyskawiczna jasność rozświetlała krańce widnokręgu, a cień wieży Tourgue, olbrzymiejąc nagle, wyciągał się aż do lasu.

Gauvain przechadzał się zwolna tam i napowrót w tym cieniu przed wyłomem. Chwilami zakładał na krzyż obie ręce z tyłu głowy, okrytej wojskowym kapturem. Myślał.

II.

Gauvain zamyślony.

Zamyślenie jego było bezdenne.

Stała się szybka, nadzwyczajna przemiana.

Margrabia Lantenac przemienił się.

Gauvain był świadkiem tej przemiany.

Nigdyby nie uwierzył, aby coś podobnego mogło wyniknąć ze zbiegu jakichkolwiek okoliczności.

Nigdyby nawet we śnie nie pomyślał, by coś takiego mogło się zdarzyć.

Niespodziewane—to coś niewiadome, co wyniośle igra z człowiekiem, pochwyciło i trzymało Gauvain'a.

Gauvain miał przed sobą niepodobieństwo, które się stałą rzeczywistością, widoczną, wyraźną, nieubłaganą.

Co myślał o tem, on, Gauvain?

Nie chodziło tu o wykręty; trzeba było coś postanowić.

Stawiono mu pytanie; nie mógł przed niem uciec.

Kto je postawił?

Wypadki.

I nie same tylko wypadki.

Bo gdy wypadki, które są zmienne, postawią nam pytanie, to sprawiedliwość niewzruszona wzywa nas do odpowiedzi.

Po za chmurą, która nam rzuca swój cień, jest gwiazda, rzucająca nam swoje światło.

Jednakowo nie możemy skryć się przed światłem, jak i przed cieniem.

Gauvain poddany był badaniu.

Stawiony był przed kimś.

Przed kimś strasznym.

Przed swem sumieniem.

Gauvain czuł, że wszystko się w nim chwieje. Najniewzruszeńsze jego postanowienia, najbardziej stanowcze obietnice, zasady najniezlomniejsze, wszystko to się chwiało w głębiach jego woli.

Bywają trzęsienia duszy.

Im więcej rozmyślał nad tem, co widział, tembardziej był wzburzony.

Gauvain, republikanin, mniemał, że konieczność nim włada, i uwiązł w niej rzeczywiście. Teraz wyższa objawiała mu się niezbędność.

Ponad koniecznością rewolucyjną jest konieczność człowiecza.

To, co się działo, nie dawało się wyminąć; sprawa była ważną; Gauvain miał udział w tej sprawie; był w nią wmieszany, nie mógł się wycofać; a lubo Cimourdain powiedział: „To cię już nie obchodzi," czuł w sobie coś nakształt tego, co czuje drzewo w chwili, gdy je odłączają od korzenia.

Każdy człowiek ma pewną zasadę; zachwianie tej zasady sprawia głęboki zamęt; Gauvain czuł ten zamęt.

Ściskał oburącz głowę, jakby chciał, aby z niej prawda trysnęła. Określić sobie jasno takie położenie było rzeczą niełatwą; nic trudniejszego nad to. Miał przed sobą przerażające cyfry, które zsumować należało; sumować przeznaczenie, co za szaleństwo! Próbował jednak; starał się zdać sprawę; usiłował zebrać swe myśli, ująć w karby swój opór i streścić fakta.

Wykładał je sobie samemu.

Komuż nie zdarzyło się zdawać sobie samemu sprawy i pytać w ważnej okoliczności samego siebie o drogę, czy ma iść naprzód, czy się cofać?

Gauvain był obecnym spełnieniu się cudu.

Jednocześnie z walką ziemską odbyła się walka niebiańska.

Walka dobrego przeciw złemu.

Straszliwe serce zostało zwyciężone.

Względnie do człowieka, z tem wszystkiem, co było w nim złego: gwałtowność, obłęd, zaślepienie, opór szkodliwy, pycha, samolubstwo — Gauvain widział cud.

Zwycięztwo ludzkości nad człowiekiem.

Ludzkość zwyciężyła nieludzkość.

Jakim środkiem, jakim sposobem? czem powaliła ten kolos gniewu i nienawiści? jakiej broni użyła? jakiej machiny wojennej? Kołyski.

Gauvain został olśniony. W wirze społecznej wojny, w pełni ścierania się wszystkich zawiści i wsze-

lakiej zemsty, w najmniej rozjaśnionej i najwścieklejszej chwili zamętu, gdy zbrodnia dawała wszystek swój płomień, a nienawiść wszystkie swe mroki; w tej dobie zapasów, gdy wszystko staje się pociskiem, a bój tak grobowo ponurym, że nie wiadomo już, gdzie jest słuszność, gdzie uczciwość, gdzie prawda; Nieznany, Tajemniczy ostrzegacz dusz, ponad blaski i mroki ludzkie, roztoczył znagła wielką, wiekuistą światłość.

Ponad posępną walką fałszu z tem, co jest względne, wśród otchłani, zjawiło się naraz oblicze prawdy.

Siła słabych wdała się niespodzianie.

Widziano trzy biedne istoty ledwie co zrodzone, bezwiedne, opuszczone, sieroty, bełkotki, uśmiechnięte, mające przeciw sobie domową wojnę, zemstę, straszną logikę odwetu, morderstwo, rzeź, bratobójstwo, wściekłość, zawziętość, wszystkie Gorgony tryumfujące; widziano niepowodzenie i klęskę haniebnych wichrzeń, którym zleconą była zbrodnia; widziano srogie zamysły pomieszane i zniweczone; widziano, jak stara feodalna dzikość, stara pogarda nieubłagana, wrzekoma świadomość wymagań wojny, interes państwowy, wszystkie zarozumiałe przedsięwzięcia srogiej starości, rozwiały się przed błękitną źrenicą tych, którzy jeszcze nie doświadczyli życia. I rzecz prosta, bo kto nie żył jeszcze, ten źle nie czynił; jest sprawiedliwością, jest prawdą, jest białością i niezmierzone anioły niebios przebywają w drobnych dziecinach.

Widok pożyteczny, rada, nauka; żołnierze, rozwścieczeni w tej wojnie bez miłosierdzia, ujrzeli nagle wobec wszelakiej szkarady, wszelakich pokuszeń, wszelakiego fanatyzmu, wobec morderstw, zemsty zażegającej stosy, śmierci, przybywającej z pochodnią w ręku, wznoszącą się nad niezliczonym zastępem zbrodni—niewinność.

I niewinność zwyciężyła.

I można było powiedzieć: Nie, wojna domowa nie istnieje, barbarzyństwo nie istnieje, nienawiść nie istnieje, występek nie istnieje, ciemności nie istnieją; do rozproszenia tych widm wystarczy ta zorza — dziecięctwo.

Nigdy, w żadnej walce, szatan nie był widoczniejszym, ani Bóg.

Polem tej walki było sumienie.

Sumienie Lantenac'a.

Walka ta zaczynała się teraz, może zawziętsza jeszcze i bardziej stanowcza, w drugiem sumieniu.

W sumieniu Gauvain'a.

Cóżto za pole walki, człowiek!

Oddani jesteśmy w moc tych bogów, tych potworów, tych olbrzymów, naszych myśli.

Straszni ci rycerze tratują częstokroć nogami naszą duszę.

Gauvain rozważał.

Margrabia Lantenac osaczony, blokowany, skazany, wyjęty z pod prawa, naciskany jak dziki zwierz w cyrku, jak gwóźdź w cęgach, zamknięty w swej siedzibie, która stała się jego więzieniem, opasany ze wszech stron murem z żelaza i ognia, zdołał się ztamtąd wydobyć. Dokazał tego cudu, że umknął. Udało mu się to arcydzieło, najtrudniejsze ze wszystkich w takiej wojnie, ucieczka. Posiadł napowrót las, aby się w nim oszańcować, kraj, aby w nim walczyć, pomrokę, aby w niej znikać. Stał się napowrót straszliwym wędrowcem, złowrogim tułaczem, wodzem niewidzialnym, naczelnikiem podziemnych ludzi, władcą puszczy. Gauvain zwyciężył, lecz Lantenac był wolny. Lantenac był teraz bezpieczny, miał przed sobą drogi otwarte, niewyczerpany wybór schronień. Był do niepochwycenia, do nieodszukania, był niedostępny. Lew schwytany w sidła wyszedł z nich cało.

Otóż sam w nie powrócił.

Margrabia Lantenac dobrowolnie, z własnego

popędu, z własnego wyboru, opuścił las, ciemności, bezpieczeństwo, wolność, aby stanąć nieustraszenie wśród najgroźniejszego niebezpieczeństwa. Naprzód widział Gauvain, jak się rzucił w pożar z narażeniem na śmierć w płomieniach; powtóre, jak spuszczał ową drabinę, która oddawała go w ręce nieprzyjaciół, która będąc dla innych drabiną ocalenia, dla niego była drabiną zguby.

Dlaczego to zrobił?

Dla ocalenia trojga dzieci.

A teraz co chcą zrobić z tym człowiekiem?

Zgilotynować go.

Tak więc człowiek ten, dla trojga dzieci, ani swoich, ani ze swej rodziny, ani ze swojej kasty; dla trojga malców, biednych, pierwszych lepszych, jakie się nawinęły, znalezionych, nieznanych, obdartych, bosych; ten szlachcic, ten książę, ten starzec, ocalony, oswobodzony, zwycięzca — bo uszedł z takiego osaczenia — zdał wszystko na los, wszystko naraził, podał w wątpliwość wszystko, co przedstawiał, i w tymże samym czasie, gdy oddawał dzieci, przyniósł dumnie swą głowę, i tę głowę, dotąd straszną, teraz szanowną, złożył w ofierze.

Co miano z nią zrobić?

Przyjąć ją.

Margrabia de Lantenac mógł wybierać pomiędzy życiem cudzem a własnem; w tym szczytnym wyborze swoją śmierć przełożył.

I miano zgodzić się na ów wybór.

Miano go zabić.

Jakaż zapłata za bohaterstwo!

Na czyn szlachetny odpowiedzieć czynem dzikim!

Poniżyć tak rewolucyę!

Co za znikczemnienie rzeczypospolitej!

Gdy człowiek, popierający przesądy i niewolę, zmieniony nagle powracał do ludzkości, oni, narzędzia swobód i wyzwolenia, mieliby grzęznąć w woj-

nie domowej, w krwawem nawyknieniu, w bratobójstwie.

A wzniosłe prawo Boże przebaczenia, zaparcia się, odkupienia, ofiary, miałożby istnieć dla zapaśników błędu, a nie dla żołnierzy prawdy?

Jakto! nie walczyć wspaniałomyślnością, dozwolić na taką porażkę, aby z mocniejszych stać się słabszymi, aby zwycięzcy stali się mordercami i aby powiedziano, że po stronie monarchii są ci, którzy ocalają dzieci, a po stronie rzeczypospolitej ci, którzy zabijają starców?

Mianożby widzieć, jak ten wielki wojownik, ten potężny ośmdziesięcioletni starzec, ten rycerz bezbronny, skradziony raczej niż wzięty do niewoli, schwytany w samą chwilę spełniania dobrego czynu, skrępowany za własnem swem zezwoleniem, mający jeszcze na czole znój szczytnego poświęcenia, wstępować będzie po stopniach rusztowania, jak po stopniach apoteozy? Mianożby oddać pod nóż gilotyny tę głowę, dokoła której krążyłyby błagalnie trzy dusze drobnych aniołków ocalonych, i wobec tej śmierci zniesławiającej katów, mianożby ujrzeć na twarzy tego człowieka uśmiech, a na obliczu rzeczypospolitej rumieniec wstydu?

I wszystko to spełniłoby się wobec Gauvain'a, wodza!

I mogąc temu przeszkodzić, miałby zezwolić! Poprzestałby na tej wyniosłej odprawie: „To cię już nie obchodzi!“ I nie powiedziałby sobie, że w podobnym razie usunąć się, jest to być wspólnikiem. I nie miałby spostrzedz, że gdy idzie o czyn tak niezmiernej wagi, ten, co go się dopuszcza, winniejszym jest od tego, który go spełnia, bo jest podłym!

Ale czyż Gauvain nie przyrzekł tej śmierci? On, człowiek łaskawy, czyż nie oświadczył, że Lantenac nie godzien jest łaski i że go wyda Cimourdain'owi.

Tę głowę był dłużny. Więc spłacał ją.

Byłaż to jednak ta sama głowa!

Dotychczas Gauvain widział w Lantenac'u tylko dzikiego wojownika, fanatyka monarchii i feodalizmu, mordercę jeńców, zbójcę rozkiełznanego wojną, człowieka krwawego. Człowieka tego nie lękał się; banitę tego byłby skazał; okrutnik ten byłby go znalazł nieubłaganym. I nic prostszego, droga była wytknięta, posępna a łatwa; wszystko było przewidziane: miano zabić tego, który zabija, była to prosta kolej grozy.

Nagle zerwała się ta kolej, nieprzewidziany zwrot odsłaniał nowy widnokręg, nastąpiła przemiana. Niespodziewany jakiś Lantenac stanął na widowni. Bohater wychodził z potworu; więcej niż bohater, człowiek. Więcej niż dusza, serce.

Nie zbójcę to już miał Gauvain przed sobą, ale wybawcę. Gauvain powalony został falą niebiańskiej światłości. Lantenac spiorunował go dobrocią.

I przemieniony Lantenac nie miałby Gauvain'a przemienić? Jakto! ten błysk światła pozostałby bez odbłysku? Człowiek przeszłości miałby iść naprzód, a cofać się człowiek przyszłości? Mąż okrucieństw i przesądów rozwinąłby nagle skrzydła, wzbił się do góry i widział czołgającego się pod sobą w ciemnościach i błocie męża ideału! Gauvain miałby się czołgać po starych, krwawych szlakach, a Lantenac bujać w sferach szczytności?

Nie koniec na tem.

A rodzina?

Ta krew, którą miał przelać, bo pozwolić na jej przelanie na jedno wychodzi co samemu ją przelać, czyliż nie była krwią Gauvain'a? Jego dziad nie żył, ale żył dziad stryjeczny, a tym dziadem stryjecznym był margrabia Lantenac. Czyżby ten z dwojga braci, który legł w grobie, nie powstał, aby zatrzymać nad nim drugiego? Czy nie nakazałby wnukowi szanować odtąd tej korony białych włosów, siostry swej

własnej aureoli? Czyż nie było tam, pomiędzy Gauvain'em a Lantenac'em, widma patrzącego z oburzeniem?

Czy celem rewolucyi było pozbawić człowieka jego natury? Czy po to ją zrobiono, by rozerwać rodzinę, zdławić człowieczeństwo? Bynajmniej. Rok 89 wyłonił się dla stwierdzenia owych najwyższych rzeczywistości, nie zaś przeczenia im. Zburzyć Bastylię, to wyswobodzić ludzkość; znieść feodalizm, to założyć rodzinę. Twórczość jest początkiem władzy i władza zawiera się w twórczości; niema więc innej władzy, prócz ojcowstwa. Ztąd prawowitość królowej ula, która rodzi swój lud, i będąc matką jego, jest królową. Cóż to znaczy? Znaczy rodzinę, ludzkość; i w gruncie rzeczy lud — jest to człowiek.

Chodziło o to, by wiedzieć, czy skoro Lantenac wrócił do ludzkości, Gauvain powróci do rodziny.

Chodziło o to, by wiedzieć, czy stryj i synowiec złączą się z sobą w wyższej światłości, lub też, czy na postępowość stryja synowiec wstecznictwem odpowie.

Takie w owej wzniosłej rozprawie Gauvain'a z sumieniem zaczynało stawiać się pytanie, a odpowiedź z natury rzeczy wypływała: ocalić Lantenac'a.

Dobrze, lecz Francya!

Tu zawrotne owo zagadnienie zmieniało nagle swą postać.

Jakto! Francya konała, Francya była wydana, odsłonięta, bez szańca! Nie miała już fosy, Niemcy przechodziły Ren; nie miała już murów, Włochy przekraczały Alpy, a Hiszpania Pireneje. Została jej jeszcze wielka otchłań, ocean. Miała za sobą przepaść. Mogła się na niej wesprzeć, i olbrzymia, oparta o całe morze, walczyć z całym lądem. Pozycya w każdym razie niezdobyta. Lecz nie, i tę traciła.

Ten ocean nie należał już do niej. Na tym oceanie była Anglia. Anglia wprawdzie nic wiedziała, jak go przebyć. Owóż był człowiek, który miał rzucić jej most, pewien człowiek miał podać jej rękę, pewien człowiek miał powiedzieć Pitt'owi, Craig'owi, Cornwallis'owi, Dundas'owi, korsarzom: — chodźcie! — pewien człowiek miał zawołać:—Anglio, bierz Francyę! a tym człowiekiem był margrabia Lantenac.

Człowieka tego trzymano w ręku. Po trzech miesiącach polowania, pościgów, zaciętej walki, został nareszcie ujęty. Ręka rewolucyi spadła na przeklętego; zaciśnięta pięść 93-go trzymała za kark rojalistowskiego mordercę. Jednem z owych zrządzeń rozmysłu tajemniczego, który z wysokości miesza się do spraw ludzkich, ojcobójca ten w lochu swego rodzinnego gniazda oczekiwał na karę; człowiek feodalizmu wtrącony był do podziemia feodalnego; kamienie jego zamku wznosiły się przeciw niemu i zamykały się nad nim, i tego, który chciał kraj swój wydać, wydał dom jego własny. Widocznie sam Bóg wszystko to zrządził, godzina sprawiedliwości wybiła; rewolucya uwięziła tego wroga kraju; nie mógł już walczyć, nie mógł potykać się, nie mógł już szkodzić. W tej Wandei, mającej tyle rąk, on jeden tylko był głową; z jego śmiercią, koniec domowej wojny; miano go. Rozwiązanie tragiczne i szczęśliwe; po tylu mordach i rzeziach, człowiek, który zabijał, był więźniem, przyszła i na niego kolej umrzeć.

Miałżeby znaleźć się ktoś, coby go oswobodził?

Cimourdain, to jest rok 93-ci, trzymał Lantenac'a, to jest monarchię; i znalazłby się kto taki, coby wydobył tę zdobycz z tych szponów bronzowych? Lantenac, człowiek, w którym skupiał się cały snop nieszczęść, zwany przeszłością, margrabia de Lantenac był w grobie, ciężkie drzwi wieczności zatrzasnęły się za nim; i miałby ktoś z zewnątrz odsunąć wrzeciądze? Złoczyńca ten społeczny umarł, a z nim

bunt, walka bratobójcza, wojna zwierzęca; i ktoś miałby go wskrzesić!

Oh! jakżeby się śmiała ta głowa trupia!

Jakżeby to widmo mówiło:—Dobrze, więc żyję, o głupcy!

Jakby on się zabrał napowrót do haniebnego dzieła! Jakżeby ów Lantenac nieugięty zanurzył się radośnie w otchłań nienawiści i wojny! Widzianoby nazajutrz płonące domy, mordowanych jeńców, dobijanych rannych, kobiety rozstrzeliwane.

A wreszcie ów czyn, który oczarował Gauvain'a, czy nie był przeceniany przez niego?

Troje dzieci było zgubionych; Lantenac je ocalił.

Lecz któż je zgubił?

Alboż nie Lantenac?

Kto umieścił owe kołyski w pożarze?

Czy nie Wilkołak?

Któż był Wilkołak?

Namiestnik margrabiego.

Odpowiedzialność spada na wodza.

Podpalaczem więc i mordercą był Lantenac.

Cóż więc uczynił tak godnego uwielbienia?

Nie wytrwał w zbrodni, nic więcej.

Zbudował zbrodnię i cofnął się przed jej spełnieniem. Wzdrygnął się sam przed sobą. Krzyk matki zbudził w nim ten zaród starej litości człowieczej, rodzaj depozytu wszechżycia, który spoczywa w każdej duszy, nawet najgorszej. Na ten krzyk zawrócił się. Z ciemności, w którą zapadł, cofnął się ku światłu. Spełniwszy zbrodnię, odrobił ją. Cała jego zasługa, że nie pozostał potworem do końca.

I za tę drobnostkę oddać mu wszystko! oddać mu przestrzeń, pola, równiny, powietrze, światło; wrócić mu las, aby go użył do rozboju, wrócić mu wolność, aby jej użył do sprawy niewoli, wrócić mu życie, aby go użył na korzyść śmierci!

A ktoby spróbował porozumieć się z nim, ktoby zechciał układać się z tą duszą wyniosłą, stawiać mu warunki oswobodzenia, ktoby zapytał go, czy zgodzi się za ocalenie mu życia, zaniechać nadal wszelkich nieprzyjacielskich kroków i buntu—jakżeby ciężko ten zbłądził, jaką przewagę dałby mu nad sobą, jaką spotkałby pogardę, jakżeby odpowiedź spoliczkowała pytanie! Jakby on odrzekł: „Zachowajcie hańbę dla siebie. Zabijcie mnie."

Nie było innej rady z tym człowiekiem, jak zabić go albo ocalić. Człowiek ten stał na szczycie. Gotów był z każdą chwilą ulecieć albo się rzucić; był sam dla siebie orłem i przepaścią.

Zabić go?—jakaż zgroza! ocalić?—jakaż odpowiedzialność!

Gdy Lantenac zostanie ocalony, trzeba będzie zacząć nanowo z Wandeą, jak z hydrą, póki ma głowę nieuciętą. W mgnieniu oka i z szybkością meteoru cały pożar, przygaszony zniknięciem tego człowieka, znów się rozniecí. Lantenac nie spocząłby, nie ziściwszy swego zamiaru ohydnego, aby położyć, jako kamień grobowy, monarchię na rzeczypospolitej, a Anglię na Francyi. Ocalić Lantenac'a, było to poświęcić Francyę; życie Lantenac'a, to śmierć tłumu niewinnych istot, mężczyzn, kobiet, dzieci, porwanych nanowo w wir domowej wojny; to wylądowanie Anglików, cofnięcie się rewolucyi, zrabowane miasta, lud szarpany, Bretania skrwawiona, ofiara wrócona szponom. I Gauvain wśród wszelkiego rodzaju niepewnych świateł i krzyżujących się blasków, widział jak w myślach jego zarysowywała się mglisto i stawała przed nim ta zagadka: Oswobodzenie tygrysa.

Potem pytanie przedstawiało się znów w pierwotnym kształcie; kamień Syzyfa, który jest niczem innem, jak kłótnią człowieka z samym sobą, znów opadał. Lantenac byłże tygrysem?

Może nim był dawniej, lecz byłże nim jeszcze?

Gauvain doznawał owych zawrotnych kołowań umysłu, wracającego wciąż do jednej myśli, które ją czynią podobną do żmii. Wistocie, czy można było, nawet po dokładnej rozwadze, zaprzeczyć poświęceniu Lantenac'a, jego stoickiemu zaparciu się, jego szczytnemu zapomnieniu o sobie? Jakto, wobec rozwartych wszystkich paszcz domowej wojny, stwierdzić człowieczeństwo? jakto, starcie się prawd niższego rzędu, zagrodzić prawdą wyższą! jakto, dowieść, że ponad monarchią, ponad rewolucyą, ponad sprawy ziemskie, jest niezmierzona czułość duszy ludzkiej, pomoc należna słabym od silnych, ratunek należny ginącym od ocalonych, ojcowstwo należne wszystkim dzieciom od wszystkich starców! Dowieść tych rzeczy wspaniałych i dowieść ofiarą własnej głowy! Jakto! będąc wodzem, wyrzec się strategii, bitwy, odwetu; jakto! będąc rojalistą, wziąć szalę do ręki, położyć z jednej strony króla Francyi, piętnastowiekową monarchię, przywrócenie dawnych praw, odbudowanie dawnego społeczeństwa—a z drugiej troje pierwszych lepszych wieśniaczych malców, i uznać, że te trzy niewiniątka przeważyły króla, tron, berło i piętnaście wieków monarchii! Jakto! wszystkoż to byłoby niczem! jakto! ten, który to zrobił, miałby być jeszcze tygrysem i mianoby obejść się z nim, jak z dzikim zwierzem! Nie! nie! nie! Nie potworem był człowiek, który blaskiem czynu Boskiego rozświetlił przepaść domowych wojen! Mąż krwawy zmienił się w męża światłości. Szatan piekieł stał się napowrót niebiańskim Lucyperem. Lantenac odkupił wszystkie swe okrucieństwa czynem ofiary; gubiąc się materyalnie, moralnie ocalił; odrodził się niewinnym; podpisał swe własne ułaskawienie. Alboż prawo przebaczenia samemu sobie nie istnieje? Odtąd stał się czcigodnym.

Lantenac stał się szczytnym. Teraz przyszła kolej na Gauvain'a.

Gauvain winien mu był odpowiedź.

Walka namiętności dobrych ze złemi tworzyła w owym czasie odmęt na świecie; Lantenac, górując nad tym odmętem, wydobył z niego ludzkość; do Gauvain'a teraz należało wydobyć zeń rodzinę.

Co miał począć?

Miałże Gauvain zawieść ufność Bożą?

Nie. I szeptał w duchu:—Ocalmy Lantenac'a.

Więc dobrze. Idź, popieraj sprawę Anglii. Zbiegnij z szeregów. Przejdź do nieprzyjaciela. Ocal Lantenac'a, a zdradź Francyę.

I drżał.

Twe rozwiązanie, myślicielu! nie jest rozwiązaniem. Gauvain widział w ciemności złowrogi uśmiech Sfinksa.

Położenie to było rodzajem strasznego rozdroża, na którem walczące prawdy ścierały się z sobą i stykały i na którem mierzyły się wzrokiem trzy najwyższe pojęcia człowieka: ludzkość, rodzina, ojczyzna.

Każdy z tych głosów przychodził z kolei do słowa i każdy z kolei mówił prawdę. Jak tu wybrać? każdy z kolei zdawał się radzić mądrze i sprawiedliwie, i mówił:—Zrób to.—Czy to właśnie należało zrobić? Tak. Nie. Rozumowanie mówiło swoje, uczucie co innego; obie rady były przeciwne. Rozumowanie jest tylko rozumem, uczucie jest często sumieniem; pierwsze pochodzi od człowieka, drugie od kogoś wyższego.

Ztąd uczucie mniej jest jasne a potężniejsze.

Jakaż to jednak siła w surowości rozumu!

Gauvain wahał się.

Okrutna wątpliwość.

Dwie otchłanie otwierały się przed Gauvain'em. Zgubić margrabiego? ocalić go? Trzeba było rzucić się w jedną lub drugą.

Która z obu tych otchłani była obowiązkiem?

III.

Kaptur dowódcy.

W rzeczy samej, o obowiązek tu chodziło.

Przed Cimourdain'em obowiązek stawał złowrogi, przed Gauvain'em straszny.

Prosty przed pierwszym; wieloraki, różny, zawiły przed drugim.

Wybiła północ, potem pierwsza zrana.

Gauvain zbliżył się nieznacznie do wyłomu, nie wiedząc o tem.

Pożar rzucał już tylko rozpierzchłą jasność i gasł.

Odblask jej padał po drugiej stronie wieży na płaskowzgórze, które chwilami stawało się widzialne, to znów, gdy dym zasłaniał ogień, nikło w pomroce. Jasność ta, wybuchająca dorywczo i nagle tłumiona ciemnością, czyniła przedmioty niekształtnemi i nadawała obozowym strażom potworną postać. Gauvain w zamyśleniu swem patrzył błędnie na to zacieranie dymu przez płomień i płomieni przez dym. Owo ukazywanie się i znikanie światła przed jego oczyma miało niejakie podobieństwo do ukazywania się i znikania prawdy w jego umyśle.

Nagle, między dwoma kłębami dymu, płomyk ulatujący z gasnącego żaru oświecił żywo wierzchołek płaskowzgórza, na którem wyskoczyła czerwona sylwetka wozu. Gauvain spojrzał na ten wóz; otaczali go jeźdźcy w żandarmskich kaszkietach. Zdawało mu się, że to był ten sam wóz, który przed kilku godzinami widział przez lunetę Guéchamp'a na widnokręgu, w chwili zachodu słońca. Na wozie byli ludzie, jakby zajęci jego wyładowywaniem. To, co składali z wozu, zdawało się ciężkie, i wydawało chwilami dźwięk żelaza; trudno byłoby powiedzieć, co to było. Dwaj z tych ludzi zeszli i złożyli na ziemi

pakę, która, wnosząc z kształtu, zawierała jakiś przedmiot trójkątny. Zagasł płomyk, wszystko pogrążyło się w ciemności; Gauvain z nieruchomem wejrzeniem stał zamyślony nad tem, co było w ciemnościach.

Zapalono latarnie, chodzono tu i tam po płaskowzgórzu; ale poruszające się kształty były niewyraźne, a zresztą Gauvain, stojąc na dole i po drugiej stronie wąwozu, mógł widzieć tylko to, co było na samym brzegu płaskowzgórza.

Słyszał głosy, lecz nie zdołał pochwycić wyrazów. Tu i owdzie rozlegały się uderzenia o drzewo. Dolatywał go jakiś chrzęst metaliczny, podobny do szczęku ostrzonej kosy.

Wybiła godzina druga.

Gauvain zwolna, jak człowiek, któryby z chęcią robił dwa kroki naprzód, a trzy wstecz, zwrócił się ku wyłomowi. Za zbliżeniem się jego szyldwach, poznawszy w półcieniu płaszcz i obszyty galonem kaptur dowódcy, sprezentował broń. Gauvain wszedł do parterowej sali, zamienionej na odwach. U sklepienia wisiała lampa. Rzucała światło o tyle, że można było przejść salę, nie następując na żołnierzy należących do straży, leżących na podłodze, na słomie, i po większej części uśpionych.

Leżeli tam, gdzie przed kilkoma godzinami walczyli; rozrzucone pod nimi w kawałkach żelaza i ołowiu kule niewymiecione, przeszkadzały im trochę do snu; ale znużeni byli i odpoczywali. Straszne to było miejsce, ta sala; w niej to atakowano; ryczano tam, wyto, zgrzytano zębami, uderzano, zabijano, konano. Wielu z ich grona padło trupem na tych kamieniach, na których leżeli uśpieni; ta słoma, która służyła im za posłanie, poiła się krwią ich towarzyszów. Teraz wszystko skończone; krew płynąć przestała, otarto pałasze, umarli nie żyli, a oni spali spokojnie. Taką jest wojna. A potem, jutro, wszyscy tak samo będą spali.

Gdy Gauvain wszedł, kilku z tych ludzi uśpionych zbudziło się i powstało, między innymi oficer dowodzący strażą. Gauvain wskazał mu drzwi lochu:

— Otworzyć mi—rzekł.

Odsunięto rygle, drzwi się rozwarły.

Gauvain wszedł do lochu.

Drzwi zamknęły się za nim.

Księga siódma.

FEODALIZM I REWOLUCYA.

I.

Przodek.

Na kamiennej podłodze lochu, obok kwadratowego otworu do podziemia, stała lampa.

Widać też było na podłodze dzbanek napełniony wodą, kawał chleba żołnierskiego i wiązkę słomy. Komnata wykuta była w skale i więzień, ktoremuby przyszło do głowy podpalić słomę, daremnieby tylko się trudził; żadnego niebezpieczeństwa pożaru dla więzienia, dla więźnia zupełna pewność uduszenia się.

W chwili, gdy drzwi obracały się na zawiasach, margrabia przechadzał się po komnacie; był to ów machinalny chód tam i napowrót, właściwy każdemu dzikiemu zwierzowi w klatce.

Na odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi podniósł głowę i lampa, stojąca na ziemi pomiędzy Gauvain'em a margrabią, oświetliła jasno twarze obu tych ludzi.

Spojrzeli na siebie takim wzrokiem, że obaj od niego stanęli jak wryci.

Margrabia wybuchnął śmiechem i zawołał:

— Dzień dobry panu. Sporo lat nie miałem

szczęścia waćpana spotkać. Raczyłeś mnie odwiedzić. Dziękuję. Rad będę trochę z panem pomówić. Zaczynałem się nudzić. Pańscy przyjaciele tracą czas. Stwierdzenia tożsamości, sądy wojenne, to długie ceregiele. Jabym się prędzej uwinął. Jestem tu u siebie. Chciej pan wejść. Cóż pan powiesz na to wszystko, co się dzieje? Oryginalne to, nieprawdaż? Był niegdyś król i królowa; królem był król, a królową Francya. Królowę zaślubiono z Robespierem; ten pan i ta pani mają córkę, którą nazwano Gilotynę i z którą, jak się zdaje, mam zabrać jutro znajomość. Będę tem zachwycony, jak i tem, że pana widzę. Czy po to przychodzisz? Czyś awansował? Czyś został katem? Jeżeli to proste odwiedziny z przyjaźni, jestem niemi prawdziwie wzruszony. Panie wicehrabio; może już nie wiesz, co to jest szlachcic. Oto go widzisz—mnie. Przypatrz mu się. To ciekawe. Wierzy on w Boga, wierzy w tradycyę, wierzy w rodzinę, wierzy w swych przodków, wierzy w przykład swego ojca, w wierność, w prawość, w obowiązki względem monarchy, w poszanowanie starych praw, w cnotę; i z przyjemnością kazałbym cię rozstrzelać. Bądź łaskaw, proszę cię, siadaj. Na bruku, co prawda, bo niema w salonie tym krzesła, ale kto żyje w błocie, ten może usiąść na ziemi. Nie mówię tego, żeby pana obrazić, bo to, co my nazywamy błotem, wy nazywacie narodem. Nie żądasz pan pewnie, bym krzyczał: Wolność, Równość, Braterstwo! Jest to stara komnata mego domu; niegdyś panowie wsadzali do niej chłopów, teraz chłopi wsadzają panów. Błazeństwa te nazywają się rewolucyą. Zdaje się, że za trzydzieści sześć godzin utną mi głowę. Nie widzę w tem nic niestosownego. Gdyby np. znano się na grzeczności, przysłanoby mi moją tabakierkę, leżącą tam na górze w zwierciadlanej sali, w której bawiłeś się dzieckiem i w której bujałem cię na kolanach. Powiem panu coś: nazywasz się Gauvain, i... rzecz dziwna, masz

w żyłach krew szlachetną, dalibóg, tę samą krew, co i moja; i ta sama krew, która ze mnie robi człowieka honoru, z ciebie robi łajdaka. Zdarzają się takie osobliwości. Powiesz, że to nie twoja wina. Dalipan, bywa się zbrodniarzem mimowiednie. Zależy to od powietrza, którem oddychamy; od czasów, jak nasze, nie jest się odpowiedzialnym za swe postępki; rewolucya jest szelmą dla wszystkich, i wszyscy wasi wielcy zbrodniarze są wielkie niewiniątka. Co za głupcy, zacząwszy od ciebie! Niech mi cię wolno będzie podziwiać. Tak jest, podziwiam chłopca, pochodzącego, jak ty, ze znakomitej rodziny, zajmującego wysokie w kraju stanowisko, mającego wielką krew do przelania za wielkie sprawy, wicehrabiego tej wieży Gauvain, księcia Bretanii, mogącego być dukiem z prawa i parem Francyi z dziedzictwa, co jest mniej więcej już wszystkiem, czego na tym padole może pragnąć rozsądny człowiek — a który, będąc tem czem jest, bawi się w to, czem jesteś, tak dalece, że sprawia na swych nieprzyjaciołach wrażenie głupca. Ale, pokłoń się pan odemnie księdzu Cimourdainowi.

Margrabia mówił swobodnie, spokojnie, bez żadnego na cokolwiek nacisku, tonem przyjętym w dobranem towarzystwie, z jasnem i niezmąconem okiem, trzymając obie ręce w kieszeniach. Przerwał, odetchnął głęboko i rzekł:

— Nie taję panu, że robiłem wszystko, co mogłem, aby cię zabić. Tak jak mnie widzisz, trzy razy, sam, własną ręką, celowałem na ciebie armatę. Nie było to grzecznie, przyznaję; lecz ktoby sobie wyobrażał, że w wojnie nieprzyjaciel stara się nam podobać, tenby opierał się na fałszywej zasadzie. Bo prowadzimy wojnę, panie synowcze. Wszak prawda, że zabito króla? Piękny wiek.

Zatrzymał się znów, potem mówił:

— I pomyśleć, że niby się z tego wszystkiego nie stało, gdyby powieszono Woltera, a Russa po-

słano na galery! Ach! mądrzy ludzie, jakaż to plaga! Proszę, cóż tedy pan zarzucasz tej monarchii? Prawda, wysłano księdza Pucelle do jego opactwa w Corbigny, dając mu do wyboru powóz i tyle czasu na podróż, ile mu się podoba; a tego waszego pana Titon, który, jeśli pan pozwolisz, był wielkim rozpustnikiem i chodził wprzód do dziewcząt zanim począł chodzić na cuda dyakona Paris'a, przeniesiono z Vincennes do zamku Ham w Pikardyi, będącego, zgadzam się na to, miejscem dosyć niemiłem. Oto zarzuty; przypominam je sobie; krzyczałem na to w swoim czasie; byłem tak głupim, jak pan.

Margrabia pomacał kieszeń, jakby szukając tabakierki, i mówił:

— Lecz nie tak złym. Gadano, aby gadać. Bywały także buntownicze roztrząsania i domagania się, a potem przyszli panowie filozofy; spalono ich pisma, zamiast spalić autorów; wmieszały się do tego dworskie koterye; przyszły wszystkie te ciemięgi: Turgot, Quesnay, Malerherbes, fizyokraci i t. d., i zaczęła się zwada. Wszystkiego przyczyną bazgracze i rymopisy. Encyklopedya! Diderot! d'Alembert! Ach! przeklęte urwisy! I zadawać się z nimi człowiekowi dobrze urodzonemu, jak ten król pruski! Co do mnie, byłbym wymiótł tych wszystkich gryzipiórków. I myśmy także miewali w swem ręku wymiar sprawiedliwości. Można widzieć na tym murze ślady kół do ćwiertowania. Nie było z nami żartów. Nie, nie, precz z gryzmołami; dopóki stanie Arouetów (Wolterów), dopóty będą Maraci. Dopóki będą bazgrać pismaki, dopóty łotry będą rozbijać; póki będzie atrament, dopóty będzie czarna podłość; dopóki ręka ludzka będzie trzymała gęsie pióro, dopóty z głupstw płochych, okrutne będą się rodzić głupstwa. Wszystko opierają na bredniach. Co nam pleciecie o jakichś tam waszych prawach. Prawa człowieka! Prawa ludu! Słowa puste, głupie, urojone, próżne, bez znaczenia. Kiedy ja powiem: Havoise,

siostra Conana II-go, przyniosła w posagu hrabstwo Bretonii Hoëlowi, hrabiemu Nan'es i Cornouailles, który pozostawił tron Alanowi Żelaznej Rękawicy, stryjowi Berty, która zaślubiła Alana Czarnego, pana na Roche-sur-Yon, i miała z nim syna Conana Małego, który był dziadem Guy'a, czyli Gauvain'a z Thours, naszego przodka, to mówię rzecz jasną, i to moje prawo! A wasi wisielcy, buntownicy, co nazywają swemi prawami? Zabić Boga i króla. Nie ohydneż to! Ach! bałwany! Żal mi cię, mój panie; ale należysz do szlachetnej krwi bretońskiej; Gauvain de Thours był twoim i moim dziadem; pradziadem też naszym był ów znakomity książę Montbazon, par Francyi, który miał mnóstwo orderów, dobywał przedmieścia Tours, był ranny w bitwie pod Arques i umarł w ośmdziesiątym szóstym roku życia wielkim łowczym Francyi, na zamku swym Couziéres w Turonii. Mógłbym ci powiedzieć jeszcze o księciu de Laudunois, synu pani de la Garnache; o Klaudyuszu Lotaryńskim, o księciu de Chevreuse i o Henryku de Lenoncourt i o Franciszku de Laval-Boisdauphin. Ale na co się to przyda? Pan ma zaszczyt być idyotą i chodzi mu o równość z moim parobkiem. Wiedz tedy, że byłem starcem, kiedyś był jeszcze dzieciakiem. Ucieralem ci nos, smarkaczu, i utrę ci go jeszcze. Rosnąc, zmalałeś. Odkąd przestaliśmy się widywać, każdy z nas poszedł w swą stronę; jam szedł po stronie uczciwości, ty po przeciwnej. Ach! nie wiem, jak się to wszystko skończy; lecz ci panowie, twoi przyjaciele, są to wspaniałe łotry! Ach! tak, to piękne, przyznaję, pyszne postępy, zniesiono w wojsku trzydniową karę wodną na żołnierzy pijaków; ustanowiono *maximum*, konwencyę, biskupa Gobel [1]), pana Chaumette [2]) i pana Hébert'a,

[1]) Przyjął cywilną konstytucyę dla duchowieństwa; w r. 1793 potępił z częścią swego kleru obrzędy religijne.

[2]) Dziennikarz i mówca uliczny, poplecznik gwałtów komuny, wywołał niszczenie dzieł sztuki katolickiej.

i burzą hurtem wszystko dawne, od Bastylii do kalendarza. Świętych zastępują jarzynami. Dobrze, panowie obywatele! rządźcie, panujcie, dogadzajcie sobie, hulajcie, nie wstydźcie się. Mimo to wszystko, religia będzie religią, monarchia będzie wypełniała piętnaście wieków naszej historyi; stare możnowładztwo francuskie, z uciętą nawet głową, będzie wyższe od was. Na to, co robicie z historycznemi prawami rodów królewskich, tylko wzruszamy ramionami. Chilperic, w gruncie rzeczy, był tylko mnichem, którego zwano Danielem; Chilperic'a wymyślił Ranifroy, aby go postawić przeciw Karolowi Martelowi; wiemy o tem tak dobrze, jak i wy. Nie o to rzecz idzie. Rzecz w tem, aby być wielkiem królestwem, być starą Francyą, być państwem wspaniale urządzonem, w którem szanują najprzód świętą osobę monarchy, samowładnego pana kraju, potem książąt, potem dostojników koronnych, potem oficerów armii i marynarki, potem urzędników dyrekcyi i nadintendentury finansów. Dalej idzie wyższe i niższe sądownictwo, a za niem zarząd akcyzy, poborcy podatków i urządzenie trzech stanów w państwie, Piękne to i szlachetne, a wyście to zniszczyli. Zniszczyliście także urządzenia prowincyonalne, bo takie, jak wy, biedne nieuki, ani się domyślali nawet, czem były prowincye. Geniusz Francyi składa się z geniuszu całego kontynentu i każda jej prowincya przedstawiała jedną z cnót Europy; szczerość Niemiec była w Pikardyi, szlachetność Szwecyi w Szampanii, przemysł Holandyi w Burgundyi, ruchliwość Polski w Langwedoku, powaga Hiszpanii w Gaskonii, mądrość Włoch w Prowancyi, przebiegłość Grecyi w Normandyi, wierność Szwajcaryi w Delfinacie. Aniście o tem wiedzieli; potłukliście, połamali, podruzgotali, zburzyli, postąpiliście jak głupie bydlęta. Ach! nie chcecie szlachty! Więc nie będziecie jej mieli! Wdziejcie po niej żałobę. Nie będziecie mieć rycerzów, nie będziecie mieć bohaterów. Żegnaj dawna

wielkości. Znajdźcie mi dziś Assas'a [1]). Drżycie wszyscy o swoją skórę. Nie będziecie już mieć walecznych z pod Fontenoy, którzy kłaniali się wprzód nim zaczęli zabijać; nie będziecie mieć wojowników w jedwabnych pończochach, jak przy oblężeniu Léridy; nie będziecie już mieli tych sławnych dni bitew, w których kity z piór mknęły jak meteory; jesteście narodem umarłym; gwałt najazdu was zgniecie. Jeżeli wróci Alaryk II-gi, nie stanie już przeciw niemu Klodoweusz; jeśli wróci Abderam, nie zastanie już przeciw sobie Karola Martela; jeżeli wrócą Saksony, nie zastaną już przeciw sobie Pepina. Nie będziecie już mieli takich walk sławnych, jak pod Agnadel, Rocroy, Lens, Steffarde, Nerwinden, Steinkerk, Marsalą, Raucoux, Lawfeld, Mahon; nie będziecie już mieć Louvines z Filipem Augustem, biorącym do niewoli jedną ręką Renaud'a, hrabiego Bulonii, a drugą Ferranda, hrabiego Flandryi. Będziecie mieli Azincourt, lecz nie będziecie mieć pana de Bacquille, wielkiego chorążego królewskiego, który zginął owinięty w swoją chorągiew. Dalej! idźcie, róbcie swoje! Bądźcie nowymi ludźmi. Nikczemnijcie.

Margrabia zamilkł na chwilę, potem rzekł:

— Ale zostawcie nam naszą wielkość. Zabijajcie szlachtę, zabijajcie księży. Wywracajcie, niszczcie, mordujcie, tratujcie wszystko nogami; rzućcie stare zasady pod stopy swoje: tron, ołtarz, Boga samego! Wasza to rzecz. Jesteście zdrajcy i podli, niezdolni do poświęcenia i ofiary. Powiedziałem swoje. Teraz każ mnie gilotynować, panie wicehrabio. Mam zaszczyt być najniższym twym sługą.

I dodał:

— Ach! wypowiedziałem ci całą prawdę! Cóż to mi szkodzi? Jam już umarły.

— Jesteś wolny—rzekł Gauvain.

---

[1]) Kapitan w wojsku francuskiem, poświęcił się w r. 1758 dla ocalenia armii, wołając, że Niemcy są pod obozem.

Zbliżył się do margrabiego, rozpiął swój płaszcz dowódcy, zarzucił mu go na ramiona, a na oczy kaptur zasunął. Obaj byli jednego wzrostu.

— Co to znaczy? — zapytał margrabia.

Gauvain zawołał głośno:

— Otwórz mi, poruczniku.

Drzwi się roztwarły.

Gauvain zawołał:

— A zamknij dobrze za mną.

I popchnął ku wyjściu zdumiałego Lantenac'a.

Zamieniona w odwach dolna sala oświetlona była, jak sobie czytelnik przypomina, krytą latarnią, przy której wszystko wydawało się jakby w zamgleniu; rzucała więcej cieniu niż światła. Ci z żołnierzy, którzy nie spali, widzieli przy tem przyćmionem świetle przechodzącego pośród nich i zmierzającego ku wyjściu człowieka wysokiego wzrostu, w płaszczu i kapturze okrytym galonem naczelnego dowódcy; oddali mu ukłon wojskowy, a on przeszedł.

Margrabia zwolna przeszedł odwach, przeszedł wyłom, potrąciwszy nieraz głową o mur, i wyszedł.

Szyldwach, sądząc, że widzi Gauvain'a, sprezentował broń.

Dostawszy się za wyłom, mając pod stopami polną trawę, o dwieście kroków las, a przed sobą przestrzeń, noc, wolność, życie, zatrzymał się i stał przez chwilę nieruchomy, jak człowiek, który dozwolił z sobą coś zrobić, uległ podejściu, i który skorzystawszy z otwartych drzwi, pyta się, czy źle, czy dobrze postąpił, waha się, czy iść dalej, i namyśla się po raz ostatni. Po kilku sekundach rozważnego zadumania wzniósł prawą rękę, trzasnął dwoma palcami i rzekł:

— Doprawdy!

I poszedł.

Zamknęły się drzwi lochu; został w nim Gauvain.

II.

Sąd wojenny.

Owego czasu wszystko prawie było dowolne w sądach wojennych. Dumas w Zgromadzeniu prawodawczem nakreślił był szkic prawodawstwa wojskowego, który później opracował i przerobił Talot w radzie Pięciuset; ale stanowczy kodeks sądów wojennych ułożony został dopiero za cesarstwa. Od czasów to cesarstwa, mówiąc mimochodem, datuje się obowiązek włożony na trybunały wojenne, aby nie inaczej zbierano głosy sędziów, jak poczynając od niższego stopnia. Za rewolucyi prawo to nie istniało.

W r. 1793 prezes trybunału wojennego sam jeden prawie stanowił cały trybunał; on wybierał członków sądu, on klasyfikował porządek stopni wojskowych, on wreszcie urządzał sposób głosowania; słowem, był współcześnie wszechwładnym panem i sędzią.

Cimourdain postanowił, że obrady sądu wojennego odbędą się w tej samej sali na dole, gdzie rojaliści wznieśli byli barykady, a gdzie teraz straż przebywała. Chodziło mu o skrócenie wszystkiego, o skrócenie drogi z więzienia do trybunału i z trybunału do rusztowania.

W południe, zgodnie z jego rozkazami, miało się rozpocząć posiedzenie sądu z następującemi przyborami: trzy wyplatane krzesełka, stół jodłowy, dwie zapalone świeczki i stołek przed stołem.

Krzesełka były dla sędziów, a stołek dla oskarżonego. Przy dwóch końcach stołu były jeszcze dwa stołki: jeden dla komisarza-audytora, którym był prosty kapral.

Na stole leżały: laska czerwonego laku, pieczęć miedziana rzeczypospolitej, kałamarz i piaseczniczka, pióra, biały papier do pisania i dwa rozłożone afisze

drukowane, z których jeden zawierał wyjęcie z pod prawa, a drugi dekret Konwencyi.

Krzesło środkowe opierało się o zwój chorągwi trójkolorowych; w owych czasach surowej prostoty nie przebierano w ozdobach sali i niewiele czasu wymagało przemienienie kordegardy w salę posiedzeń sądu.

Krzesło pośrodku, przeznaczone dla prezesa, stało naprzeciw drzwi więzienia.

Publiczność stanowili żołnierze.

Dwóch żandarmów strzegło stołka, na którym miał zasiąść oskarżony.

Cimourdain siadł na krześle środkowem, mając po prawej stronie kapitana Guéchamp, pierwszego sędziego, a po lewej sierżanta Radoub, drugiego sędziego.

Prezes miał na głowie kapelusz z trójkolorowym pióropuszem, przy boku pałasz, a za pasem dwa pistolety. Szeroka czerwona blizna powiększała dzikość jego twarzy.

Radoub pozwolił się nareszcie obandażować. Dokoła głowy miał chustkę, na której zwolna rozszerzała się krwawa plama.

Wybiła dwunasta, a jeszcze nie rozpoczęło się posiedzenie sądu; kuryer, którego koń rżał na dziedzińcu, stał przy stole trybunału. Cimourdain pisał. A pisał to:

„Obywatele, członkowie Komitetu ocalenia publicznego.

Lantenac wzięty do niewoli. Jutro będzie zgilotynowany.“

Położył papier, podpisał, złożył papier, zapieczętował depeszę i oddał ją kuryerowi, który natychmiast odjechał.

To uczyniwszy, Cimourdain rzekł donośnym głosem:

— Otwórzcie więzienie.

Żandarmi odsunęli rygle, otworzyli więzienie i weszli tam.

Cimourdain podniósł głowę, założył ręce na piersi, spojrzał na drzwi i zawołał:

— Przyprowadźcie więźnia.

Pod kolistą futryną drzwi otwartych ukazał się człowiek pośród dwóch żandarmów.

Był to Gauvain.

Cimourdain zadrżał.

— Gauvain! — krzyknął.

I dodał:

— Żądam, żeby przyprowadzono więźnia.

— Ja jestem więźniem — rzekł Gauvain.

— Ty?

— Ja.

— A Lantenac?

— Wolny!

— Wolny?

— Tak.

— Uciekł?

— Uciekł.

Cimourdain wyjąkał drżącym głosem:

— A... prawda! Ten zamek jest jego własnością; wszystkie wyjścia są mu znane, więzienie zapewne ma jakie tajne wyjście; powinienem był o tem pomyśleć, widać znalazł sposób ucieczki i nie potrzebował niczyjej pomocy.

— Owszem, pomożono mu — rzekł Gauvain.

— Do ucieczki?

— Tak, do ucieczki.

— Kto mu pomógł?

— Ja.

— Ty!

— Ja.

— Chyba ci się śni!

— Wszedłem do więzienia i byłem sam z jeńcem. Zdjąłem z siebie płaszcz, włożyłem mu go na ramiona, zasłoniłem twarz jego kapturem i wyszedł

zamiast mnie, a ja zostałem na jego miejscu. I otóż staję jako więzień.

— Chybaś tego nie zrobił!

— Zrobiłem.

— Niepodobna!

— Szczera prawda.

— Przyprowadźcie mi Lantenac'a!

— Już go tu niema. Żołnierze widząc, że jest w płaszczu dowódcy, wzięli go za mnie i wypuścili. Była jeszcze noc ciemna.

— Oszalałeś, widzę.

— Powiadam jak było.

Nastało milczenie. Cimourdain wyjąkał:

— Więc zasłużyłeś ..

— Na śmierć—dodał Gauvain.

Cimourdain był blady, jak głowa ścięta. I siedział nieruchomy, jak człowiek, w którego piorun uderzył. Zdawało się, że przestał oddychać. Grube jak perły krople potu wystąpiły na jego czoło.

A jednak zdobył się na głos silny i rzekł:

— Żandarmi, posadźcie oskarżonego.

Gauvain siadł na stołku.

— Żandarmi, dobądźcie pałaszy.

Formuła ta była w użyciu, gdy nad oskarżonym ciężyła kara śmierci.

Żandarmi dobyli pałasze.

Głos Cimourdaina odzyskał dźwięk dawny.

— Oskarżony — rzekł — proszę wstać.

Nie mówił już „ty“ do Gauvain'a.

III.

Głosowanie.

Gauvain wstał.

— Jak się nazywacie?—spytał Cimourdain.

Gauvain odpowiedział:

— Gauvain.

— Kto jesteście?

— Jestem naczelnym dowódcą kolumny ekspedycyjnej Wybrzeży Północnych.

— Czy jesteście krewnym lub powinowatym zbiegłego człowieka?

— Jestem jego wnukiem stryjecznym.

— Czy wiadomy wam dekret Konwencyi?

— Widzę jego afisz na tym stole.

— Co pan powiesz o tym dekrecie?

— Że sam jestem na nim podpisany, że rozkazałem go wykonać i że to ja kazałem wydrukować ten afisz, u spodu którego jest moje nazwisko.

— Wybierzcie sobie obrońcę.

— Będę się sam bronił.

— Daję wam głos.

Cimourdain odzyskał dawną obojętność. Tylko, że ta obojętność podobniejszą była do spokoju martwej skały niż do spokojności człowieka.

Gauvain milczał przez chwilę, jakby zbierał myśli.

Cimourdain znów się odezwał:

— Co powiecie na swoją obronę?

Gauvain zwolna podniósł głowę, nie spojrzał na nikogo i odpowiedział:

— To powiem: jedna rzecz przeszkodziła mi widzieć drugą, jeden czyn dobry, widziany zblizka, zasłonił mi sto czynów zbrodniczych; z jednej strony starzec, z drugiej dzieci — wszystko to stanęło między mną i moją powinnością. I zapomniałem o wioskach spalonych, o spustoszonych polach, o jeńcach wymordowanych, o dobitych rannych, i o kobietach rozstrzelanych; zapomniałem o Francyi wydanej Anglikom i wypuściłem na wolność zabójcę ojczyzny. Jestem winowajcą. Tak mówiąc, zdaję się mówić przeciw sobie; ale tak nie jest. Mówię w swojej obronie. Gdy winowajca uznaje swoją winę, już

tem samem ocala jedyną rzecz wartą ocalenia—swój honor.

— I nic więcej nie masz pan do powiedzenia na swoją obronę? — spytał Cimourdain.

— Dodam to, że jako wódz, powinienem był dać z siebie przykład i że wy z kolei, jako sędziowie, powinniście także dać przykład.

— Jakiego przykładu pan żądasz?

— Mojej śmierci.

— I sądzisz pan, że ona jest zasłużoną?

— I konieczną.

— Proszę usiąść.

Furyer, komisarz audytor, wstał i odczytał najprzód rozporządzenie, wyjmujące z pod prawa byłego margrabię Lantenac'a; powtóre dekret Konwencyi, skazujący na karę śmierci każdego, ktoby dopomógł ujętemu powstańcowi do ucieczki; w końcu przeczytał kilka wierszy wydrukowanych u spodu afisza, a zakazujących „pod karą śmierci dawania jakiejkolwiek pomocy" wyżej wspomnionemu powstańcowi, a podpisanych: dowódca naczelny kolumny ekspedycyjnej, *Gauvain*.

To odczytawszy, komisarz audytor usiadł.

Cimourdain założył ręce na piersi i mówił:

— Oskarżony, proszę słuchać z uwagą. Publiczości, proszę słuchać, patrzeć i milczeć. Jesteście w obliczu prawa. Przystąpi się teraz do głosowania. Wyrok wydany będzie prostą większością głosów. Każdy sędzia z kolei wypowie swoje zdanie, głośno, wobec oskarżonego, bo sprawiedliwość niema nic do zatajenia.

Cimourdain dodał:

— Pierwszy sędzia ma głos. Mów, kapitanie Guéchamp.

Kapitan Guechamp zdawał się nie widzieć ani Cimourdain'a, ani Gauvain'a. Spuszczone powieki zasłaniały jego oczy nieruchome, utkwione w afisz de-

kretu i patrzące na niego, jak się patrzy w przepaść. I mówił:

— Prawo jest formalne. Sędzia jest więcej i mniej niż człowiekiem, bo niema serca; jest więcej niż człowiekiem, gdyż ma miecz sprawiedliwości. W roku 414 od założenia Rzymu Manlius Torquatus skazał na śmierć swego syna za występek zwyciężenia nieprzyjaciół bez jego rozkazu. Pogwałcona karność wymagała przykładnej kary. Tu pogwałcone zostało prawo, a prawo jest jeszcze wyższem od karności. W przystępie politowania narażono ojczyznę na niebezpieczeństwo. Litość może przybrać rozmiary występku. Komendant Gauvain wypuścił powstańca Lantenac'a z więzienia. Gauvain jest winny. Głosuję za karą śmierci.

— Piszcie, pisarzu — rzekł Cimourdain.

Pisarz napisał „Kapitan Guéchamp: śmierć."

Gauvain podniósł głos.

— Guéchamp—rzekł—dobrześ głosował i dzięki ci za to składam.

Cimourdain znów się odezwał:

— Głos ma drugi sędzia. Mów, sierżancie Radoub.

Radoub wstał, obrócił się do Gouvain'a i po wojskowemu salutował oskarżonego. Potem zawołał:

— Jeśli to tak, więc zgilotynujcie mnie, bo daję wam najświętsze słowo honoru uczciwego człowieka, że chciałbym zrobić najprzód to, co zrobił stary, a potem to, co zrobił mój dowódca. Gdym zobaczył, jak ów ośmdziesięcioletni starzec rzucił się w ogień i wyniósł z niego troje robaczków, powiedziałem zaraz: Dzielny z ciebie zuch, mój poczciwcze! a gdym się dowiedział, że to mój dowódca ocalił głowę tego starca od waszej głupiej gilotyny, do stu fur kartaczy! rzekłem: Obywatelu dowódco, powinienbyś być moim generalem; jesteś człowiekiem co się zowie i ja, do stu piorunów! dałbym ci krzyż świętego Ludwika, jeśliby jeszcze były u nas krzyże,

święci i Ludwiki! Co u licha, czy to się kierujemy teraz na niedołęgów, czy co? Jeżeli dla takiego głupstwa wygrało się bitwy pod Jemappes, pod Valmy, pod Fleurus, pod Wettignies, toż mi powiedzcie, niech wiem, co się święci. A to śliczne! Komendant Gauvain od czterech miesięcy tłucze tych gamoniów rojalistów, rąbiąc pałaszem, ocala rzeczpospolitę, odnosi pod Dol zwycięztwo, które wymagało nielada rozumu, a wy, mając takiego człowieka, chcecie się go pozbyć! I zamiast zrobić go swoim generałem, chcecie mu głowę uciąć! A to, dalibóg, bierze ochota rzucić się z nowego mostu na łeb w Sekwanę. A i tobie nawet, obywatelu Gauvain, mój dowódco, gdybyś zamiast być moim generałem, był moim kapralem, powiedziałbym w oczy, żeś przed chwilą strzelił kapitalne głupstwo. Stary dobrze zrobił, ocalając dzieci, ty, mój dowódco, dobrześ zrobił, ocalając starego, a jeżeli gilotynują się ludzie za spełnienie dobrych uczynków, to już, do wszystkich dyabłów! nie wiem, o co chodzi. Niema się co już zatrzymywać: zabijajcież wszystkich najlepszych ludzi. Nie; chyba to wszystko żart, nieprawdaż? Nie wierzę własnym uszom. Chyba we śnie to słyszę. Szczypię się, żeby poznać, że nie śpię. Nie rozumiem tego. Więc według was, należało, żeby stary pozwolił na spalenie żywcem dzieci, należało, żeby mój komendant pozwolił na ucięcie głowy staremu? Nie; to już lepiej zgilotynujcie mnie. Wolę to sto razy. Samo przypuszczenie, że dzieci mogły zginąć w płomieniach, byłoby znieslawieniem batalionu Czerwonej Czapki. Czyliż tego chciano? Kiedy tak, to już pożerajmy się wszyscy wzajem. Boć nakoniec znam się na polityce niegorzej od was, byłem członkiem klubu sekcyi Pik. Do stu piorunów! przemieniamy się w bydlęta, mówiąc bez ogródki! Streszczam mój sposób widzenia rzeczy. Nie lubię położenia, w którem człek głupieje, nie wiedząc już, co począć. Dlaczego, u dyabła, dajemy się zabijać? Żeby nam zabito

naszego dowódcę! Nic z tego, Ludwisiu. Dajcie mi mojego dowódcę! Potrzeba mi mojego dowódcy! Kocham go dziś bardziej jeszcze niż wczoraj. Wysyłać go pod gilotynę — ależ śmiech człeka bierze! Nie; my tego nie chcemy. Skończyłem. Mówcie sobie, co chcecie, ja z góry powiadam, że to być nie może.

I Radoub usiadł. Rana jego się otworzyła. Struga krwi, sącząc się z pod bandaża, spływała za uchem wzdłuż szyi.

Cimourdain obrócił się ku Radoubowi.

— Czy głosujecie za uwolnieniem oskarżonego?

— Głosuję za tem — rzekł Radoub — żeby go zrobiono generałem.

— Pytam was, za czem głosujecie?

— Głosuję za tem, żeby go zrobiono najpierwszym dostojnikiem rzeczypospolitej.

— Sierżancie Radoub, czy głosujesz za tem, żeby komendant Gauvain był uwolniony lub nie?

— Głosuję za tem, żeby mi ucięto głowę na jego miejscu.

— Uwolnienie — rzekł Cimourdain. — Pisarzu, piszcie.

Pisarz napisał: „Sierżant Radoub: uwolnienie."

Potem pisarz dodał:

— Jeden głos za śmiercią. Jeden głos za uwolnieniem. Podzielone głosy.

Kolej głosowania przyszła na Cimourdain'a.

Wstał. Zdjął kapelusz i położył go na stole.

Nie był już ani blady, ani siny. Jego twarz miała barwę ziemi.

Gdyby wszyscy obecni w sali leżeli w trumnach całunami okryci, milczenie nie byłoby głębsze.

Cimourdain rzekł głosem poważnym, powolnym a silnym:

— Oskarżony Gauvain'ie, sprawa jest wysłuchana. W imieniu Rzeczypospolitej, sąd wojenny, większością dwóch głosów przeciw jednemu...

Umilkł na chwilę, zdawało się, że pasuje się z sobą; czy się wahał wobec śmierci? czy się wahał wobec życia? Wszystkie piersi wznosiły się przyśpieszonym oddechem. Cimourdain mówił dalej:

— ... Skazuję cię na karę śmierci.

Twarz jego wyrażała katusze złowrogiego tryumfu. Straszliwy uśmiech rozjaśnił ją, uśmiech zadowolenia, jakby mu pobłogosławił archanioł, którego powalił na ziemię.

Zajaśniało to na chwilę jak błyskawica i zniknęło. Cimourdain znów stał się nieczułym jak głaz, siadł, włożył na głowę kapelusz i dodał:

— Gauvan'ie, jutro o wschodzie słońca będziesz stracony.

Gauvain wstał, ukłonił się i rzekł:

— Dziękuję sądowi.

— Odprowadźcie więźnia — rzekł Cimourdain.

Na znak dany przez Cimourdain'a, drzwi więzienia otworzyły się, Gauvain wszedł tam i więzienie się zamknęło. Dwóch żandarmów z dobytemi pałaszami stanęło po obu stronach na warcie.

Musiano wynieść Radoub'a, który padł bez zmysłów na podłogę.

IV.

Po Cimourdain'ie sędzim Cimourdain pan życia i śmierci.

Obóz to istne gniazdo os. Szczególniej w czasach rewolucyjnych. Żądło obywatelskie, tkwiące w żołnierzu, chętnie i szybko wychodzi i po wypędzeniu nieprzyjaciela, bez ceremonii kole dowódcę. Pośród dzielnego wojska, które zdobyło wieżę Tourgue, rozlegały się różne szemrania — najprzód prze-

ciw komendantowi Gauvain, gdy się dowiedziano o ucieczce Lantenaca. Gdy jednak z więzienia, w którem miał siedzieć Lantenac, wyszedł Gauvain, sprawiło to wstrząśnienie elektryczne i w niespełna minutę cały korpus był o tem zawiadomiony. Zaraz wszczęły się szmery w całej armii i mówiono: — Mają niby sądzić Gauvaina; ale to tylko dla pozoru. Ktoby tam ufał byłej szlachcie i klechom. Widzieliśmy, że wicehrabia ocalił margrabiego, a teraz zobaczymy, że ksiądz rozgrzeszy szlachcica! — Gdy się jednak dowiedziano o skazaniu Gauvaina na śmierć, rozległy się inne szemrania: — A to dopiero! Skazywać naszego wodza, naszego dzielnego wodza, naszego młodego komendanta, bohatera. Jest wicehrabią i cóż ztąd? temci większą ma zasługę, że został republikaninem! Co znowu! Karać go śmiercią, jego, oswobodziciela z Pontorson, z Villedieu, z Pont au-Beau! zwycięzcę w Dol i Tourgue! jego, dzięki któremu jesteśmy zwycięzcami! jego, który jest szpadą rzeczypospolitej w Wandei! jego, który od pięciu miesięcy stawia czoło szuanom i naprawia wszystkie głupstwa Lechelle,a i innych! I ten Cimourdain śmie skazywać go na śmierć! I za co? że ocalił życie starcowi, który wyratował troje dzieci! Ksiądz poważa się zabijać żołnierza!

Tak szemrał obóz zwycięzki a niezadowolony. Ponury gniew otaczał Cimourdaina. Cztery tysiące ludzi przeciw jednemu, zdaje się to być siłą, a jednak nie jest. Te cztery tysiące ludzi były tłumem, a Cimourdain był wolą. Wiedziano, że Cimourdain łatwo marszczył brwi, a nie trzeba było nic więcej, żeby trzymać armię w respekcie. W owych czasach surowych sam cień Komitetu ocalenia publicznego, padający za człowiekiem, wystarczał, by człowiek ten stał się strasznym i żeby przekleństwa przemieniały się w szepty, a szepty w milczenie. Przed szemraniami i później Cimourdain był panem losu Gauvaina i wszystkich. Wiedziano, że nie można nic

od niego żądać i że posłusznym był tylko swemu sumieniu, nadludzkiemu głosowi, który sam jeden słyszał. Wszystko od niego zależało. Co zrobił jako sędzia wojenny, to samo mógł przerobić jako delegowany cywilny. On jeden mógł ułaskawić. Miał pełnomocnictwo nieograniczone; jednem skinieniem mógł uwolnić Gauvaina; był panem życia i śmierci; rozkazywał gilotynie. W tej tragicznej chwili był on człowiekiem wszechwładnym.

Należało tylko czekać.

Noc zapadła.

V.

Więzienie.

Sala sądowa stała się znów kordegardą; zdwojono straże jak dnia poprzedniego; dwóch żołnierzy stanęło u drzwi zamkniętego więzienia.

Około północy człowiek z latarką w ręku przeszedł przez salę, dał się poznać strażom i kazał otworzyć więzienie. Był to Cimourdain.

Wszedł i drzwi za sobą zostawił otwarte.

Więzienie było ciemne i milczące. Cimourdain postąpił krok w tej ciemności, postawił latarkę na ziemi i zatrzymał się. W cieniu słychać było regularne oddychanie śpiącego człowieka. Cimourdain, zamyślony, przysłuchiwał się temu cichemu szelestowi.

W głębi więzienia na wiązce słomy leżał Gauvain. Jego to oddech słyszano. Spał snem głębokim.

Cimourdain zbliżył się na palcach i patrzył na Gauvaina: matka, patrząca na swoje niemowlę, nie miałaby spojrzenia czulszego i tak niewymownie serdecznego. To spojrzenie było może silniejszem od

Cimourdaina; przycisnął on, jak to niekiedy czynią dzieci, dwie swoje pięści do oczu i przez chwilę był nieruchomy. Potem uklął, delikatnie podniósł rękę Gauvaina i przycisnął do niej swoje usta.

Gauvain poruszył się i otworzył oczy z półsennem zdziwieniem nagłego obudzenia. Latarka słabo oświetlała więzienie. Gauvain poznał Cimourdaina.

— A! — rzekł — to ty, mój mistrzu.

I dodał:

— Śniło mi się, że śmierć całowała mnie w rękę.

Cimourdain drgnął gwałtownie, jak się to nam niekiedy zdarza, gdy nagle napłyną fale myśli do głowy; czasami te fale piętrzą się tak wysoko i tak burzliwie, iż zdaje się, że zatopią duszę. Z głębi serca Cimourdaina nic wyjść nie mogło. Zaledwie zdołał powiedzieć: Gauvainie!

I obadwaj spojrzeli na siebie; Cimourdain oczyma pełnemi płomieni palących łzy, a Gauvain z najsłodszym uśmiechem.

Gauvain wsparł się na łokciu i rzekł:

— Ta blizna na twojej twarzy — to cięcie pałasza, któreś otrzymał za mnie. Wczoraj jeszcze wśród walki byłeś przy mnie i z mojego powodu. Gdyby Opatrzność nie sprowadziła cię do mojej kolebki, gdzież byłbym dzisiaj? — w ciemnościach. Urodziłem się skrępowany Przesądy są więzami, tyś zerwał ze mnie te powijaki, pozwoliłeś mi wzrastać swobodnie i z tego, co było już mumią, uczyniłeś znów żywe i zdrowe dziecię. W prawdopodobnego niedołęgę tchnąłeś sumienie. Gdyby nie ty, urosłbym, nie przestając być karłem duchowym. Dzięki tobie, mam poczucie swych powinności. Byłem tylko wielkim panem, a tyś zrobił ze mnie obywatela i nietylko obywatela, ale człowieka myślącego; jako człowieka uzdolniłeś mnie do życia ziemskiego, a jako duszę do niebieskiego żywota. Dałeś mi klucz prawdy do oryentowania się w rzeczywistościach tego padołu

i klucz światła, który mi wyższe otwiera życie. Dzięki ci, o mój mistrzu. Ty jesteś moim drugim stwórcą.

Cimourdain siadł na słomie obok Gauvaina i rzekł do niego:

— Przyszedłem wieczerzać z tobą.

Gauvain przełamał chleb razowy i podał mu. Cimourdain wziął kawałek; potem Gauvain podał mu dzban z wodą.

— Pij pierwszy — rzekł Cimourdain.

Gauvain napił się i podsunął dzban Cimourdainowi, który pił po nim. Gauvain trochę tylko się napił.

Cimourdain pił długo.

Podczas tej wieczerzy Gouvain jadł, a Cimourdain pił; znak to spokojności pierwszego, a gorączki drugiego.

Jakiś straszny, pogodny spokój panował w tem więzieniu. Dwaj ci ludzie gawędzili najswobodniej.

Gauvain mówił:

— Zanosi się na wielkie rzeczy. To, co teraz robi rewolucya, jest tajemnicą. Za dziełem widzialnem jest dzieło niewidzialne. Jedno zakrywa drugie. Dzieło widzialne—okropne, dzieło niewidzialne — szczytne. W tej chwili wszystko wyraźnie dostrzegam. Jest to zarazem i dziwne i piękne. Należało posługiwać się materyałami przeszłości. Ztąd ów nadzwyczajny rok dziewięćdziesiąty trzeci. Pod rusztowaniem barbarzyństwa buduje się świątynia cywilizacyi.

— Tak—odpowiedział Cimourdain.—Z tej tymczasowości wyjdzie stanowcze położenie. Położenie stanowcze jest to prawo równoległe z powinnością, podatek stosunkowy postępowy, służba wojskowa obowiązująca wszystkich, zrównanie, żadnego zboczenia, a ponad wszystkiemi i wszystkiem linia prosta — prawo. Rzeczpospolita bezwzględna.

— Wolę rzeczpospolitę idealną — rzekł Gauvain.

Umilkł na chwilę i tak dalej mówił:

— O mój mistrzu, powiedz mi, w tem, coś mówił przed chwilą, gdzie pomieścisz poświęcenie, ofiarę, zaparcie się, siebie i ten wspaniały splot życzliwości, miłością zwany? Dobrze jest stawić wszystko w równowadze, lepiej jednak ułożyć wszystko w harmonię. Ponad szalą jest lira. Wasza rzeczpospolita waży, mierzy i reguluje człowieka; moja zaś unosi go w błękity; jest to taka sama różnica, jak między twierdzeniem matematycznem a orłem.

— Gubisz się w obłokach.

— A ty w rachunku.

— W twojej harmonii są marzenia.

— Są także w twojej algebrze.

— Chciałbym, żeby człowieka kształcił matematyk Euklides.

— A ja — odrzekł Gauvain — żeby go kształcił poeta Homer.

Cimourdain spojrzał z surowym uśmiechem na Gauvaina, jakby chciał wstrzymać polot tej duszy.

— To poezya. Nie dowierzaj poetom.

— O, znam to słówko. Nie dowierzaj natchnieniu, nie dowierzaj promieniom, nie dowierzaj zapachom, nie dowierzaj kwiatom, nie dowierzaj gwiazdom.

— Wszystko to jeść nie daje.

— A zkąd wiesz o tem? Myśl jest także pożywieniem. Myśleć, jest to jeść.

— Porzućmy abstrakcye. Rzeczpospolita jest oczywistością, jak dwa razy dwa cztery. Gdym dał każdemu, co mu się należy...

— Pozostaje ci jeszcze dać każdemu to, czego mu się nie należy.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem niezmierne wzajemne ustępstwo, które każdy winien jest wszystkim i które wszyscy winni są każdemu, a co jest całem życiem społecznem.

— Za obrębem ścisłego prawa nic niema.

— Przeciwnie, jest wszystko.

— Widzę tylko sprawiedliwość.

— A ja patrzę wyżej.

— Co może być wyższego nad sprawiedliwość?

— Słuszność.

Czasami zatrzymywali się, jakby przemykały błyski.

Cimourdain odpowiedział:

— Dowiedź tego, jeśli zdołasz.

— I owszem. Chcesz służby wojskowej obowiązującej wszystkich. Przeciw komu? przeciw innym ludziom. Ja zaś nie chcę służby wojskowej. Chcę pokoju. Żądasz tylko nędznych zapomóg, ja chcę zniesienia nędzy. Chcesz podatku stosunkowego, ja zgoła nie chcę podatków. Żądam, żeby były wydatki wspólne, sprowadzone do najprostszego wyrażenia i płacone z przewyżki wartości społecznej.

— Jak to rozumiesz?

— Tak: najprzód znieście darmozjadów. Potem wyzyskajcie wasze bogactwa; rzucacie mierzwę do ścieków, rzućcie ją na skibę. Trzy czwarte części gruntu leży ugorem; wykarczujcie Francyę, znieście nieprzydatne na nic pastewniki, podzielcie grunta gminne. Niech każdy człowiek ma kawałek ziemi, niech każdy kawałek ziemi ma człowieka. W ten sposób stokroć pomnożycie produkcyę społeczną. Obecnie Francya cztery tylko dni w roku daje mięsne pożywienie swym rolnikom; dobrze uprawiona wyżywiałaby trzysta milionów ludzi, całą Europę.

Zużytkujcie przyrodę, tę niezmierną a pogardzoną pomocnicę. Niech dla was pracują wszystkie powiewy wiatru, wszystkie spadki wód, wszystkie prądy magnetyczne. Kula ziemska ma sieć żył podziemnych; w tej sieci jest cudowne krążenie wody, oleju i ognia; otwórzcie żyłę globu, niech z niej tryśnie woda dla waszych studzien, olej dla waszych lamp, ogień dla waszych kuchen. Zastanawiajcie się nad ruchem bałwanów morskich, nad przypływem i odpływem morza, nad nieustanną ruchliwością fali. Czem

jest ocean? — ogromną siłą straconą. Jakże głupią jest ziemia. Żeby też nie używać oceanu!

— Znów marzysz.

— Przeciwnie, mówię o rzeczywistości.

I po chwili Gauvain dodał:

— A kobieta? Co z niej uczynicie?

Cimourdain odpowiedział:

— To, czem jest. Sługę mężczyzny.

— Tak, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że i mężczyzna będzie sługą kobiery.

— Co ci się roi — zawołał Cimourdain — mężczyzna sługą! nigdy. Mężczyzna jest panem. Przyjmuję jedno tylko królestwo: domowego ogniska. Mężczyzna jest królem u siebie w domu.

— Zapewne, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że i kobieta będzie tam królową.

— To jest chcesz dla mężczyzny i kobiety...

— Równości.

— Równości! Jak możesz o tem myśleć? Dwie te istoty są różne.

— Powiedziałem równości. Nie powiedziałem tożsamości.

Nastała chwila milczenia, niby pewien rozejm między tymi dwoma duchami, wymieniającymi błyskawice. Cimourdain je przerwał:

— A dziecię! Komu je dasz?

— Najprzód ojcu, który je płodzi, potem matce, która je rodzi, potem nauczycielowi, który je wychowuje, potem społeczności, która je hartuje, potem ojczyźnie która jest wielką matką i wreszcie ludzkości, która jest najwyższą rodzicielką.

— Nie mówisz o Bogu.

— Każdy z tych stopni: ojciec, matka, nauczyciel, społeczność, ojczyzna i ludzkość, są szczeblami drabiny sięgającej do Boga.

Cimourdain milczał, Gauvain mówił dalej:

— Gdy wejdziesz na szczyt drabiny, dosięgniesz Boga; królestwo Boże otworzy się dla ciebie.

Cimourdain poruszył ręką, jakby przywołując.

— Gauvainie, powróć na ziemię. Chcemy urzeczywistnić wszystko, co jest możliwem.

— A więc przedewszystkiem nie róbże tego niemożliwem.

— Co jest możliwe, to zawsze się urzeczywistnia.

— Nie zawsze. Gdy szorstko potrącisz utopię, zabijesz ją. Niema nic bezbronniejszego nad jajko.

— A jednak trzeba pochwycić utopię, narzucić jej jarzmo rzeczywistości i osadzić ją w fakcie, jak w ramach. Myśl oderwana powinna się przemienić w myśl ujętą; straci przez to na piękności, lecz na użyteczności zyska; będzie mniejszą, ale lepszą. Trzeba, żeby prawo jednostek weszło do ogólnego prawa; a gdy prawo jednostek stanie się prawem ogólnem, wówczas będzie prawem bezwzględnem. To właśnie nazywam możliwem.

— Możliwem jest coś więcej jeszcze.

— Ach! znów wpadasz w marzenia.

— Możliwe jest, jak ptak tajemniczy, zawsze szybujący ponad człowiekiem.

— Trzeba go złowić.

— Z...wego.

Gauvain mówił dalej:

— Myśl moja jest taka. Jeśliby Bóg chciał, żeby człowiek się cofał, to byłby mu dał oko w tyle głowy. Patrzmy zawsze w stronę jutrzenki, rozkwitu, narodzin. To, co upada, daje zachętę temu, co wstępuje w górę. Skrzypienie starego drzewa jest wezwaniem dla nowego drzewa. Każdy wiek spełni swoje dzieło, dziś obywatelskie, jutro ogólnie ludzkie. Dziś kwestya prawa; jutro kwestya zapłaty. Zapłata i prawo, to w gruncie rzeczy jedno i to samo. Człowiek nie po to żyje, żeby nie był płaco-

nym; Bóg, dając życie, zaciąga dług; prawo—to zapłata wrodzona; zapłata—to prawo nabyte.

Gauvain mówił w proroczem skupieniu ducha. Cimourdain słuchał. Role były zmienione i teraz się zdawało, że uczeń jest mistrzem.

Cimourdain mruknął:

— Za prędko idziesz.

— Bo może mi jest pilno — rzekł z uśmiechem Gauvain.

I dodał:

— O, mój mistrzu, powiem ci różnicę między naszemi dwiema utopiami. Ty chcesz koszar przymusowych, ja chcę szkoły. Ty marzysz o człowieku-żołnierzu, ja marzę o człowieku-obywatelu. Ty chcesz, żeby był strasznym, ja chcę, żeby był myślącym. Ty zakładasz rzeczpospolitę mieczów, ja zakładam...

I poprawił się:

— Ja założyłbym rzeczpospolitę duchów.

Cimourdain spojrzał na podłogę więzienia i rzekł:

— A tymczasem czego chcesz?

— Tego, co jest.

— Więc rozgrzeszasz chwilę obecną?

— Rozgrzeszam.

— Dlaczego?

— Gdyż to burza. Burza zawsze wie, co robi. Zdrużgocze piorunem kilka dębów, ale ileż lasów orzeźwi! Cywilizacya była dotknięta zarazą, dziś wielka nawałnica uwalnia ją od tej plagi. Wprawdzie burza niedość przebiera w swoich ofiarach. Czy może jednak robić inaczej? Ciężka to dla niej praca, to wymiatanie! Wobec okropności zaraźliwych wyziewów pojmuję wściekłość wyjących wichrów.

Gauvain mówił dalej:

— Zresztą, co mnie obchodzi burza, jeśli mam busolę, i co mnie obchodzą wypadki, jeśli mam sumienie?

I dodał głosem zniżonym, który jest także głosem uroczystym:

— Jest ktoś, któremu nigdy opierać się nie trzeba.

— Kto? — spytał Cimourdain.

Gauvain podniósi palec nad swoją głowę. Cimourdain powiódł spojrzenie w kierunku tego podniesionego palca i zdało mu się, że przez sklepienie więzienia widzi niebo gwiaździste.

Obaj milczeli.

Cimourdain odezwał się po chwili.

— Społeczeństwo większe jest od natury. Mówiłem ci, że to już nie jest możliwe, to marzenie.

— To cel. Inaczej, po co istniałoby społeczeństwo? Zostańcie w naturze. Bądźcie dzikimi. Otaiti jest rajem. Tylko, że w tym raju nie myślą. Wolałbym piekło rozumne, niż raj głupi. Ale nie, precz z piekłem! Bądźmy społeczeństwem ludzkiem. Większem niż natura. Tak, większem. Jeśli jednak nic nie dodajecie do natury, pocóż z niej wychodzić? Więc poprzestańcie na pracy, jak mrówka, lub na miodzie, jak pszczoła. Pozostańcie bydłem roboczem, zamiast być rozumem królującym. Jeśli zaś dodacie coś do natury, będziecie koniecznie od niej więksi; dodawać, to pomnażać, a pomnażać, to rosnąć w potęgę i wielkość. Społeczeństwo jest naturą uduchownioną. Chcę wszystkiego, czego braknie ulom i mrowiskom; chcę pomników, sztuk, poezyi, bohaterów i geniuszów. Dźwigać ciężary wiekuiste nie jest prawem, któremu człowiek podlega. Nie, nie, nie; nie chcę już wyrzutków społeczeństwa, niewolników, kajdaniarzy i galerników! chcę, by każdy przymiot człowieka był godłem cywilizacyi i znamieniem postępu; chcę wolności wobec ducha, równości wobec serca, braterstwa wobec duszy. Nie! Nie chcę już jarzma! Człowiek stworzony jest nie do dźwigania kajdan, lecz do rozwijania skrzydeł. Nie chcę już człowieka-płazu! Chcę, żeby z poczwarki przeistoczył się w mo-

tyla, chcę, żeby robak ziemi przemienił się w kwiat żyjący i uleciał w błękity. Chcę...

I umilkł. Oczy jego zapałały żywym blaskiem. Usta poruszały się jeszcze, ale mówić przestały.

Drzwi wciąż były otwarte. Jakaś zewnętrzna wrzawa przenikała do więzienia. Słyszano przygłuszone dźwięki trąby, prawdopodobnie pobudkę poranną; potem kolby karabinów zadźwięczały uderzając o ziemię, zapewne luzowano warty; potem, dość blizko wieży, o ile można było wnosić w ciemnościach, zrobił się ruch podobny do poruszania desek i grubych tarcic razem z głuchym i przerywanym łoskotem, podobnym do uderzeń młota.

Cimourdain, blady, słuchał. Gauvain nic nie słyszał.

Jego zaduma stawała się coraz głębszą. Zdawało się, że przestał oddychać, z taką uwagą wpatrywał się w widzenie, jakie miał pod sklepieniem swego mózgu. Czasami lekko drgnął, a światłość jutrzenki rosła w jego źrenicach.

Tak upłynął czas pewien. Cimourdain zapytał:

— O czem myślisz?

— O przyszłości — rzekł Gauvain.

I znów zapadł w głębokie rozmyślania. Cimourdain wstał ze słomianego łoża, na którem obaj siedzieli. Gauvain nie spostrzegł tego. Cimourdain, pożerając czułem spojrzeniem młodego człowieka, zwolna cofnął się ku drzwiom i wyszedł. Więzienie się zamknęło.

VI.

Tymczasem słońce wschodzi.

Dzień niebawem zaświtał na widnokręgu.

Razem z nim ukazała się na płaskowzgórzu Tourgue, ponad lasem Fougères, rzecz osobliwa, nieru-

choma i zadziwiająca, której ptaki niebieskie nie znały.

Postawiono to tam w ciągu nocy Było to raczej ustawione niż zbudowane. Zdala na widnokręgu wyglądało to jak sylwetka linij prostych i ostrych, mająca kształt litery hebrajskiej lub jednego z owych hieroglifów egipskich, co należały do alfabetu starożytnej zagadki.

Z pierwszego wejrzenia zdawało się, że to jakaś rzecz nieużyteczna, stojąca pośród krzaków kwieciem okrytych. I mimowolnie pytałeś się, do czego to może służyć? Po chwili jednak przejmowały cię dreszcze. Było to rusztowanie z desek, wsparte na czterech słupach. W jednym boku rusztowania dwie wysokie i proste belki, połączone u szczytu poprzeczną tarcicą, sterczały do góry i trzymały zawieszony trójkąt, który w błękitach poranku zdawał się być czarnym. Z przeciwnego boku rusztowania była drabina. Między dwiema belkami, na dole pod trójkątem, była jakby ściana z desek, złożona z dwóch części ruchomych, które zespolone z sobą, ukazywały oczom dziurę okrągłą, objętości nieco większej od szyi człowieka. Część górna ściany przesuwała się w wyżłobieniu i mogła się podnosić i spuszczać. W owej chwili porannej dwie części, które łącząc się tworzyły naszyjnik, były odsunięte. U stóp dwóch belek podtrzymujących trójkąt widziałeś deskę, dającą się obracać na zawiasach i podobną do huśtawki. Obok tej deski był kosz podłużny, a między belkami w końcu rusztowania wystawał kosz kwadratowy. Pomalowane to było na czerwono. Wszystko było z drzewa z wyjątkiem trójkąta, który był z żelaza. Czułeś, że zbudowali to ludzie, tak było brzydkie, nikczemne i nędzne; a jednak godne było rąk duchów nadziemskich, tak było potężne i straszne.

Tą niekształtną budowlą była — gilotyna.

O kilka kroków naprzeciw niej, w parowie, stał inny potwór, wieża Tourgue. Potwór z kamie-

nia był jakby uzupełnieniem potworu z drzewa. I powiedzmy mimochodem; gdy człowiek dotknie się drzewa lub kamienia, drzewo i kamień przestają być drzewem i kamieniem i przejmują coś z człowieka.

Wieża Tourgue była wynikiem przeszłości feodalnej; w niej streściło się tysiąc pięćset lat średniowiecznych lenistwa, niewoli gruntowej i feudalizmu; w gilotynie skupiał się tylko rok jeden, ale ten rok jeden piętnastu stuleciom przeciwważył.

Tragicznem było to spotkanie przeszłości średniowiecznej z brzaskami nowych czasów.

Z jednej strony dług, z drugiej wypłata. Tam nierozplątane powikłanie wszelkiej niewoli, tu proste rozwiązanie cięciem noża, z jednej strony węzeł, z drugiej miecz.

Wieża Tourgue oddawna stała samotnie w tej pustyni, jak złowrogie widmo średniowiecznych nadużyć i barbarzyńskich gwałtów i swoją straszną postacią spokojnie przez piętnaście wieków panowała nad lasem, budząc dokoła postrach i uszanowanie; a tu nagle, naprzeciw niej stanął inny potwór, nie mniej straszny.

Niekiedy kamienie zdają się mieć dziwne oczy. Posąg robi spostrzeżenia, wieża wypatruje, fasada gmachu spogląda zamyślona. Wieża Tourgue zdawała się przypatrywać gilotynie i pytać: coś ty za jedna i zkąd się wzięłaś?

Gilotyna miała prawo odpowiedzieć jej: Jestem twoją córką. Wzrosłam z łez i krwi, którąś ty przelała.

I wieża Tourgue nagle wobec tego strasznego zjawiska uczuła jakby przerażenie. Potworna masa granitu była wspaniała i sromotna, ale ta deska z trójkątem była czemś jeszcze gorszem. Upadła wszechmoc czuje zgrozę na widok nowej wszechmocy. Historya zbrodni patrzyła na historyę mściwej sprawiedliwości. Stare gwałty stanęły przed

kratkami nowych gwałtów. Dzień wczorajszy drżał wobec dnia dzisiejszego.

Natura jest nielitościwą; nie chce ukryć swoich kwiatów, swych dźwięków, swoich woni i swych promieni wobec obrzydliwości ludzkiej, gnębi człowieka przeciwieństwem między pięknością boską a społeczną brzydotą i nie daruje mu ani skrzydeł motyla, ani śpiewu ptasząt. Pośród mordów, zemst i barbarzyństw swoich człowiek musi wytrzymać spojrzenie rzeczy świętych; daremnie chciałby uniknąć niezmiernego wyrzutu łagodności powszechnej i nieubłaganej pogody błękitów. Potworność praw ludzkich w całej swej szpetnej nagości ukazać się musi pośród lśniącego wiekuistego przepychu. Człowiek burzy i druzgocze, człowiek niweczy, człowiek zabija; ale lato pozostaje latem, lilia lilią, a gwiazda gwiazdą.

Tego poranku wschodzące na pogodnem niebie słońce roztaczało przepych czarowniejszy niż kiedykolwiek. Ciepły wietrzyk poruszał krzaki, wyziewy poranne rozkosznie czołgały się po gałązkach, las Fougères, przenikniony wskroś oddechem źródeł, dymił się o świcie jak olbrzymia kadzielnica, pełna wonnych tumanów. Błękit niebieskiego stropu, białość obłoków, jasna przezroczystość wód, cienista zieloność, ta harmonijna gama, która od koloru beryla przechodzi do barwy szmaragdu; braterskie gromadki drzew, kobierce ziół, głębokie równiny — wszystko miało ową czystość, co jest wiekuistą przestrogą, jaką natura daje człowiekowi. Pośród tego wszystkiego rozpierał się ohydny bezwstyd ludzki; pośród tego wszystkiego sterczały: warownia i rusztowanie, wojna i sromotna kara, dwie postacie krwawego wieku i krwawej chwili, puchacz nocy przeszłości i nietoperz przedświtów przyszłości. Wobec przyrody kwitnącej, wonnej, kochającej i czarownej, wspaniale jaśniejące niebo zalewało blaskami jutrzenki wieżę Tourgue i gilotynę, i zdawało się mówić do ludzi: Patrzcie, co ja czynię, a co wy czynicie.

Takie są potężne a straszne użytki, jakie słońce robi ze swego światła.

Widowisko to miało widzów.

Cztery tysiące ludzi małej armii ekspedycyjnej stanęło w szyku bojowym na płaskowzgórzu. Żołnierze otoczyli gilotynę z trzech stron, tworząc figurę geometryczną, podobną do litery E; baterya, ustawiona w środku linii najdłuższej, stanowiła boczny ogonek głoski. Czerwona maszyna była jakby zamkniętą w trzech tych frontach bojowych w owej rozwiniętej po obu stronach ścianie żołnierzy, aż do stoków płaskowzgórza; czwarty bok, bok otwarty, był parowem i patrzył na wieżę Tourgue.

Tworzyło to przestrzeń podłużnego czworoboku, pośród którego stało rusztowanie. W miarę, jak słońce wznosiło się na niebie, cień gilotyny zmniejszał się na trawie.

Artylerzyści z lontami zapalonemi stali przy swoich armatach.

Niebieskawy dymek zwolna wznosił się z parowu: było to zamieranie pożaru.

Ten dym dość rzadki nie zasłaniał wieży Tourgue, której wysoki taras górował nad całym widnokręgiem. Między tym tarasem i gilotyną była tylko przestrzeń parowu. Z jednej i drugiej strony można było z sobą rozmawiać.

Na ów taras przeniesiono stół sądu wojennego i krzesła osłonione trójkolorowemi chorągwiami. Wschodzące za wieżą słońce w czarnych zarysach uwydatniało granitową masę twierdzy, a na jej szczycie, na krześle trybunału i pod zwojem chorągwi, postać człowieka, co siedział nieruchomy z założonemi na piersiach rękami.

Tym człowiekiem był Cimourdain. Miał on na sobie, jak w przededniu, ubiór delegowanego cywilnego, na głowie kapelusz z trójkolorowym pióropuszem, przy boku pałasz, a za pasem pistolety.

Człowiek ten milczał. Wszyscy milczeli. Żołnierze mieli karabiny u nogi i oczy spuszczone. Trącali się łokciem, ale nic nie mówili. Przed ich wyobraźnią przesuwały się mgliste obrazy owej wojny, tylu walk, tylu zasadzek w lesie, na które się odważnie narażali, owej ćmy chłopów wściekłych, którą rozpraszało ich mężne tchnienie, owych warowni zdobytych, bitew wygranych i licznych zwycięztw — i teraz im się zdawało, że wszystka ta chwała przemienia się w ich sromotę. Posępne oczekiwanie ściskało wszystkie serca. Na estradzie gilotyny widziano przechadzającego się kata. Wzrastająca jasność poranku majestatycznie zapełniała niebo.

Nagle usłyszano przytłumiony łoskot, jaki sprawiają bębny krepą okryte. Odgłos tego pogrzebowego bębnienia zbliżał się; rozwarły się szeregi, orszak wszedł w czworobok i skierował się ku rusztowaniu.

Najprzód dobosze z czarnemi bębnami, potem kompania grenadyerów ze spuszczonemi karabinami, potem pluton żandarmów z obnażonemi pałaszami, potem skazany — Gauvain.

Gauvain szedł krokiem swobodnym. Nie miał więzów ani na nogach, ani na rękach. Był w wicemundurze, miał przy boku szpadę.

Za nim szedł drugi oddział żandarmów.

Gauvain miał jeszcze w twarzy ów wyraz radości zadumanej, która ją rozjaśniła w chwili, gdy powiedział do Cimourdain'a: Myślę o przyszłości. Nic niema tak niewysłowienie szczytnego, jak ten uśmiech nieprzerwany.

Dochodząc do smutnego miejsca, pierwszem spojrzeniem obdarzył taras wieży. Na gilotynę nie raczył spojrzeć.

Wiedział, że Cimourdain poczyta sobie za powinność być obecnym przy traceniu skazanego. Szukał go więc oczyma na tarasie. I znalazł go tam.

Cimourdain był sino blady i zimny. Ci, co siedzieli przy nim, nie słyszeli jego oddechu.

I nie zadrżał zobaczywszy Gauvain'a.

Tymczasem Gauvain szedł ku rusztowaniu.

Tak idąc, patrzył na Cimourdain'a i Cimourdain na niego patrzył. Zdawało się, że Cimourdain czerpał siłę w tem spojrzeniu.

Gauvain doszedł do rusztowania. I wstąpił na nie. Oficer dowodzący grenadyerami wszedł za nim. Gauvain odpasał swoją szpadę i oddał ją oficerowi, potem odwiązał chustkę ze swojej szyi i podał ją katu.

I zdawał się być podobny do niebiańskiego widzenia. Nigdy jeszcze nie był tak pięknym. Ciemne jego włosy kołysały się na wietrze; w owym czasie nie obcinano włosów. Patrząc na jego białą szyję, mimowolnie myślałeś o kobiecie; a patrząc na jego oczy bohaterskie i dumnie wszechładne, mimowolnie myślałeś o archaniele. I stanął na rusztowaniu zadumany. To miejsce jest także zaszczytem. Gauvain stał tu wspaniały, wzniosły i spokojny. Promienie słońca otaczały go jakby gloryą.

Należało jednak związać skazanego. Kat przyszedł z postronkiem w ręku.

W tej to chwili, gdy młody wódz był już niewątpliwie oddany pod miecz katowski, żołnierze nie mogli dłużej wytrzymać; serce tych wojowników wybuchnęło. I usłyszano rzecz niesłychaną, głośne łkania armii. I rozległo się wołanie wielkie: Łaski! łaski! Niektórzy żołnierze padli na kolana; inni rzucili swoje karabiny i podnieśli ręce ku tarasowi, na którym był Cimourdain. Jeden grenadyer krzyknął, wskazując na gilotynę: — Czy przyjmie to zastępców za naszego wodza? Jam gotów. — A wszyscy powtarzali z namiętnem uniesieniem: Łaski! łaski! I gdyby lwy to słyszały, byłyby wzruszone lub przestraszone, bo łzy żołnierzy są straszne.

Kat zatrzymał się, nie wiedząc już co począć.

Naówczas głos krótki i nizki, który jednak wszyscy słyszeli, tak był złowrogim, zawołał z wysokości wieży:

— Prawo winno być wykonane!

Poznano głos nieubłagany. Cimourdain przemówił. Armia zadrżała.

Kat już się nie wahał. I zbliżył się, trzymając postronek.

— Poczekaj — rzekł Gauvain.

I obrócił się ku Cimourdain'owi, i ręką prawą, jeszcze wolną, przesłał mu pożegnanie; potem dał się związać.

Gdy już był związany, rzekł do kata:

— Za pozwoleniem. Jeszcze chwilkę.

I krzyknął:

— Niech żyje Rzeczpospolita!

Położono go na desce ruchomej. Piękną i dumną jego głowę osadzono w haniebnym naszyjniku. Kat delikatnie podniósł jego włosy, a potem nacisnął sprężynę; trójkąt odczepił się i zsunął, najprzód zwolna, potem szybko; usłyszano ohydne uderzenie...

Współcześnie rozległ się inny łoskot. Na cios topora odpowiedział strzał z pistoletu. Cimourdain schwycił jeden z pistoletów, które miał za pasem, i w chwili, gdy głowa Gauvain'a toczyła się do kosza, Cimourdain przeszył sobie serce kulą. Strumienie krwi trysnęły z jego ust i padł nieżywy.

I dwie te dusze, siostry tragiczne, uleciały razem; cień jednej złączył się ze światłością drugiej.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

TOM PIERWSZY.

Str.

Wiktor Hugo 3

Część pierwsza: — **Na morzu.** — *Księga pierwsza.* Las w Saudraie 25

Księga druga. Korweta „Claymore.“

I. Anglia pospołu z Francyą 40
II. Noc osłania okręt i pasażera 44
III. Szlachta pospołu z gminem 46
IV. Tormentum belli 54
V. Vis et vir 57
VI. Dwie szale wagi 63
VII. Kto puszcza się na morze, ten stawia na loteryę . 66
VIII. 9 = 380 69
IX. Ktoś uchodzi 74
X. Czy ocaleje? 76

Księga trzecia. Halmalo.

I. Mowa to słowo 79
II. Pamięć wieśniaka warta umiejętności wodza . . 84

Księga czwarta. Tellmarch.

I. Wzgórze wybrzeża 96
II. Aures habet et non audiet 99
III. Użyteczność wielkich liter 101
IV. Caimand 103

Str.

V. Podpisano Gauvain 110
VI. Koleje wojny domowej 114
VII. „Bez miłosierdzia“ — „Bez pardonu“ 119

Część druga: — **W Paryżu.** — *Księga pierwsza.* Cimourdain.

I. Ulice Paryża w owym czasie 125
II. Cimourdain 133
III. Miejsce nieskąpane w Styksie 140

Księga druga. Szynkownia przy ulicy Pawiej.

I. Minos, Eak, Radamantes 144
II. Magna testantur voce per umbras 147
III. Fibry głębokie drgają 165

TOM DRUGI.

Część druga: — **W Paryżu** (Ciąg dalszy). — *Księga trzecia.*

I. Konwencya 5
II. Marat za kulisami 31

Część trzecia: — **W Wandei.** — *Księga pierwsza.* Wandea.

I. Puszcze 39
II. Ludzie 42
III. Wspólnictwo ludzi i lasów 45
IV. Ich życie pod ziemią 49
V. Ich życie w czasie wojny 51
I. Plus quam civilia bella 56
II. Dol 65
III. Małe wojsko, a wielka bitwa 73
IV. Po raz drugi 82
V. Kropla zimnej wody 86
VI. Pierś wyleczona, serce zakrwawione 90
VII. Dwa bieguny prawdy 97
VIII. Dolorosa 105

Str.

Bastylia prowincyonalna.
I. Tourgue 108
II. Wyłom 110
III. Podziemie 112
IV. Zamek na moście 114
V. Drzwi żelazne 118
VI. Biblioteka 120
VII. Spichlerz 122
VIII. Zakładnicy 123
XI. Straszliwe, jakby z dawnych czasów 131
XII. Zakrój na ocalenie 136
XIII. Co robi margrabia 138
XIV. Co robi Wilkołak? 142

TOM TRZECI.

Część trzecia: — **W Wandei** (Dokończenie). — *Księga trzecia.* Rzeź Ś-go Bartłomieja 3

Księga czwarta. Matka.
I. Śmierć przechodzi 21
II. Śmierć mówi 24
III. Szeptania włościan 28
IV. Omyłka 33
V. Vox in deserto 36
VI. Położenie 38
VII. Wstępne układy 41
VIII. Słowo i Ryk 46
IX. Tytany przeciw olbrzymom 50
X. Radoub 54
XI. Zrozpaczeni 62
XII. Wybawiciel 66
XIII. Oprawca 69
XIV. Wilkołak wymyka się 71
XV. Nie trzeba kłaść do jednej kieszeni klucza i zegarka 73

Str.

Księga piąta. In doemone Deus

I. Znalezione, lecz zgubione 78

II. Od wrót kamiennych do wrót żelaznych 86

III. Budzą się dzieci, które zasnęły 88

Księga szósta. Po zwycięztwie walka.

I. Lantenac ujęty 94

II. Gauvain zamyślony 96

III. Kaptur dowódcy 110

Księga siódma. Feodalizm i Rewolucya.

I. Przodek 113

II. Sąd wojenny 121

III. Głosowanie 124

IV. Po Cimourdainie sędzim Cimourdain pan życia i śmierci 130

V. Więzienie 132

VI. Tymczasem słońce wschodzi 141

1/3 480,—

75/85

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
174067

Biblioteka WSP Kielce
0121680